



GIOVANNI BOCCACCIO

---

**Dekameron, Dzień  
drugi**





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

GIOVANNI BOCCACCIO

DEKAMERON

# *Dzień drugi*

TŁUM. EDWARD BOYÉ

# Spis treści

Opowieść pierwsza. Martellino-kaleka . . . . .	4
Opowieść druga. Modlitwa do świętego Juliana . . . . .	6
Opowieść trzecia. Dziwne małżeństwo . . . . .	10
Opowieść czwarta. Landolfo Rufolo . . . . .	14
Opowieść piąta. Andreuccio z Perugii . . . . .	16
Opowieść szósta. Znalezione dzieci . . . . .	23
Opowieść siódma. Alatiel, naręczona króla Algarbii . . . . .	29
Opowieść ósma. Przypadki grabiego Antwerpii . . . . .	40
Opowieść dziewiąta. Nieszczęścia poczciwej białogłowy . . . . .	47
Opowieść dziesiąta. Kalendarz starych mężów . . . . .	53

Słońce promieniami swymi już nowy dzień ozłociło, a ptaszki na zielonych gałęziach miłe nucąc pienia świadectwo temu dawali, gdy młodzieńcy i damy, podniósłszy się z posłania, do ogrodu się udali. Cicho po rośnej stąpając trawie, tam i sam krążyli i piękne wieńce splatali, a później rozprószyli się w różne strony — uczynili to, co i poprzedniego dnia: posilili się w chłodzie, potańczyli nieco i wczasowi<sup>1</sup> się oddali.

O dziewiątej wstali i spełniając wolę królowej zebraли się na zielonej łączce, i wokół Filomeny zasiedli. Wielce urodziwa królowa, miły pozór<sup>2</sup> oblicza mająca, wawrzynowym wieńcem ozdobiona była. Siedząc, w milczeniu pilnie na wszystkich patrzyła, aż wreszcie poleciła Neifile, aby pierwsza opowiadać zaczęła.

Neifile, nie szukając wymówek, zaraz wesołym głosem mówić poczęła:

## OPOWIEŚĆ PIERWSZA. MARTELLINO-KALEKA

*Martellino, rzekomy kaleka, udaje, że ozdrowiał, zbliżywszy się do szczątków świętego. Gdy oszustwo na jaw wychodzi, biją go i powiesić pragną; aliści<sup>3</sup> udaje mu się wyjść cało z opresji.*

— Często się zdarza, miłe damy, że ten, kto chce dworować lub sztydzić z innych, a zwłaszcza z rzeczy na cześć zasługujących, sam wyszydzonego się widzi i wielką szkodę ponosi. Będąc posłuszna życzeniu królowej, zaczynam opowieść zgodnie z materią wprzód obraną. Z opowieści tej obaczycie, jakiemu to niefortunnemu przypadkowi podległ jeden z naszych rodaków, który wbrew swym nadziejom i oczekiwaniom ujrzał, jak jego sprawy następnie pomyślny obrót wzięły.

„Przed niedawnym czasem żył w Treviso<sup>4</sup> pewien Niemiec, zwany Henrykiem<sup>5</sup>. Wielką biedę cierpiąc, stał się nosicielem ciężarów i służył każdemu, kto mu płacił. Wszyscy jednak w wielkim go mieli zachowaniu<sup>6</sup>, wiedząc, że jest człkiem świątobliwego żywota i zacnych obyczajów. Trevisanie twierdzili nawet (nie wiedzieć, czy to prawda, czy nie), że w godzinie jego śmierci dzwony największego w Treviso kościoła same dzwonić jęły<sup>7</sup>. Zdarzenie to za cud uznane zostało i odtąd Henryk już za świętego uchodził. Z całego miasta lud zbiegł się do domu, w którym ciało jego spoczywało, i odprowadził je do katedry, niby szczątki doczesne świętego. Do kościoła sprowadzono ślepych, chromych i garbatych, którzy ozdrowieć mieli, dotknąwszy się zwłok świętego.

Gdy taki tumult i zamieszanie panowało, przybyli do Treviso trzech nasi rodacy. Jeden z nich nazywał się Stecchi, drugi Martellino, a trzeci Marchese. Byli to franci wędrujący po wielkopańskich dworach, gdzie zabawiali widzów przedrzeźnianiem najrozmaitszych ludzi. Nigdy dotychczas nie byli w Treviso; zdziwili się przeto, ujrawszy takie zbiegowisko. Gdy się dowiedzieli o przyczynie, zapragnęli swoją ciekawość zaspokoić. Ostawili swoje toboły podrózne w gospodzie. Marchese rzekł do towarzyszy:

— Pójdziemy zobaczyć tego świętego, tylko, dalibóg, nie wiem, jak się do niego dostaniemy, gdyż slyszalem, że plac przed kościołem jest pełen Niemców i band zbrojnych, które pan tej ziemi zawsze w gotowości trzyma, aby nieporządkom zapobiegały. Zresztą, jak powiadają, kościół jest tak natłoczony, że ani jedna osoba więcej już się tam nie pomieści.

Aliści Martellino, który gwałtem pragnął ujrzeć święte szczątki rzekł:

— Już ja znajdę sposób, aby się przez ciżbę przedostać.

— Jakiż to sposób? — zapytał Marchese.

— Udam kalekę, ty zasię<sup>8</sup> z jednej strony, a Stecchi z drugiej będziecie mnie podtrzymywali tak, jakbym iść nie mógł i jakbyście mnie wiedli do szczątków świętego po to, abym zdrowie odzyskał. Wówczas wszyscy wolne przejście nam dadzą.

<sup>1</sup>wczas (daw.) — wypoczynek. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>pozór (daw.) — tu: wygląd. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Treviso — lokowane w XI wieku miasto położone na Nizinie Weneckiej. Przez długi czas było pod panowaniem weneckim. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Henryk z Bolzano (1250–1315) — zw. też Henrykiem z Treviso; drobny rzemieślnik, żył w skrajnym ubóstwie i bogobojności; został pochowany w katedrze w Treviso, gdzie rozwinął się jego kult. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>mieć w zachowaniu kogoś (daw.) — szanować kogoś. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

Obu towarzyszącej Martellina wielce się podobała jego chytra sztuczka. Nie mieszka-  
jąc<sup>9</sup> zatem, wyszli z gospody, a gdy w ustronne miejsce przybyli, Martellino powygiął  
sobie ręce, ramiona i nogi i tak głębię wykrzywił, a oczy przewrócił, że jego pozór stał  
się szpetny wielce. Każdy na pierwszym pojrzeniu musiałby go wziąć za człeka, którego  
na całym ciele połamało. Marchese i Stecchi schwycili go pod ramiona i powlekli do  
kościółka. Udując wielce miłosiernych, błagali pokornie każdego stojącego na drodze, aby  
w imię miłości Boga przepuścił ich swobodnie. Ściągnęli na siebie uwagę przytomnych<sup>10</sup>,  
którzy wołać poczęli: »Miejsca, miejsca dla chorego!«. Wkrótce też dotarli do ciała Hen-  
ryka. Ci, co blisko trumny stali, wzięli Martellina na ręce i położyli go na trupa, tak  
aby łaski cudu mógł dostąpić. Martellino, wiedząc, że wszyscy z zapartym tchem czekają  
na to, co się stać ma, poleżał przez chwilę spokojnie, a później, jako mistrz udawania,  
wyprostował jeden palec, rękę, ramię i wreszcie całe ciało. Lud, widząc to, jął wznosić  
tak gromkie okrzyki na chwałę świętego Henryka, że przy nich trudno by było grzmoty  
nawet usłyszeć.

Tymczasem nieszczęsny traf zdarzył, że blisko trupa świętego znajdował się pewien  
Florentczyk, który dobrze znał Martellina. Nie poznał go był tak pokręconego, gdy go  
wlekli do grobu Henryka, teraz jednak, widząc go wyprostowanego, parsknął śmiechem  
i zawołał:

— A niech mu kat świeci! Któż z nas, widząc, jak go włoką, nie uwierzyłby, że istotnie  
jest kaleką?

Kilku Trevisańczyków, usłyszawszy te słowa, rzekło:

— Więc ten człek nie był połamany?

— Broń Boże! — odparł Florentczyk — zawsze był prosty, jak każdy z nas, jak to  
widzieć mogliście, umie tylko różne chytre sztuczki na schwał czynić i przybierać na się,  
jaki chce, pozór.

Ledwie słowa te wyrzekł, gdy tamci co sił runęli naprzód, wołając gromkim głosem:

— Chwytajcie tego zdrajcę, co drwi z Boga i świętych! Udaje kalekę, chcąc w po-  
śmiewisko nas i naszego świętego podawać!

Tak krzycząc, rzucili się na niego, ściągnęli w dół, schwycili go za włosy, porwali  
w strzępy jego suknię i jęli go tęgo kopać i grzmocić pięściami; ten, co by go kułakiem  
nie poczęstował, nie uważałby się za męża.

Martellino wrzeszczał ze wszystkich sił, prosząc o zmiłowanie, i bronił się, jak mógł,  
ale wszystko to na nic się zdawało, gdyż razy coraz gęściej się na niego sypały. Stecchi  
i Marchese, widząc to, pojęli, że sprawy nader zły obrót biorą, jednakże nie spieszyli mu  
na pomoc, o własną się obawiając skórę. Przeciwnie wcale, pospołu z innymi krzyczeli,  
że go zabić należy. Nie przestawali jednak głowić się nad tym, jak by go wydrzeć z rąk  
pospółstwa. Ani chybi, gdyby nie szczęśliwa myśl, która Marchesemu do głowy przy-  
szła, nieborak życie by postradał. Cała straż miejska znajdowała się na mieście; Marchese  
podbiegł co tchu do zastępcy burmistrza i rzekł:

— Na miłosierdzie boskie, ów hultaj wyciągnął mi sakiewkę z setką złotych florenów,  
błagam was, kaźcie go przytrzymać, abym mógł pieniądze moje odzyskać.

Natychmiast dwunastu pachołków rzuciło się tam, gdzie nieboraka Martellina cze-  
sano bez grzebień; z wielkim trudem przecisnąwszy się przez ciżbę, wyrwali go, tęgo  
wymłóconego i podeptanego, z rąk pospółstwa i powiedli na ratusz, dokąd udało się za  
nimi wielu tych, co uważali, że Martellino z nich zakpił. Każdy, gdy usłyszał, że Mar-  
tellina schwytano za to, iż sakiew ukradł, pomyślał, że jest to najlepsza sposobność do  
zalania mu sadła za skórę. Jeden przez drugiego jął<sup>11</sup> tedy<sup>12</sup> twierdzić, że Martellino jego  
mieszek zwędził.

Sędzia miejski, człek wielce surowy, wzięwszy go czym prędzej na stronę, do badania  
przystąpił. Aliści Martellino odpowiadał mu jeno<sup>13</sup> żarcikami, tak jakby niewiele sobie  
z tego pochwycenia robił. Sędzia wpadł w gniew i kazał go wziąć na powrót i kilkakroć  
dobrze naciągnąć, aby zeznanie winy zeń wymusić, a potem posłać go na szubienicę. Gdy

<sup>9</sup>nie mieszkając (daw.) — nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>przytomny (daw.) — obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

<sup>11</sup>jął (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

go już na ziemi postawili z powrotem, sędzia znów go zapytał, zali słusznie go obwiniają. Martellino, wiedząc, że zapieranie się nie zda się na nic, rzekł:

— Jestem gotów wyznać całą prawdę, Wasza Wielmożność, ale niechaj przedtem każdy, co mnie oskarża, powie, gdzie i kiedy mu sakiew ukradłem, później i ja opowiem wszystko, com uczynił i czego nie popełniłem.

Sędzia zgodził się na to ochotnie i kilku oskarżycieli przywołał. Jeden twierdził, że Martellino ukradł mu mieszek osiem dni temu, drugi, że przed sześciu dniami, trzeci, że od kradzieży cztery dni upłynęły; niektórzy zaś upewniali, że sakiew zginęła im dnia dzisiejszego.

Martellino, usłyszawszy to, rzekł:

— Ha, na mą duszę, wielmożny panie, wszyscy kłamią plugawie; łatwie<sup>14</sup> mi jest dowieść tego. Oby nigdy noga moja nie była postać w tym mieście, gdzie za ledwie od kilku godzin bawię. Na nieszczęście poszedłem zaraz do kościoła, aby obaczyć święte szczątki, i tam mnie oporzędono na schwał, jako to sami widzicie. Prawdę słów moich może poświadczyć urzędnik grodzki, który zapisuje do księgi imiona tych, co do grodu przybywają, oraz mój gospodarz. Gdy się upewnicie, że jest tak, jak mówię, nie każecie mnie chyba męczyć i zabijać, folgując tym hultajom.

Tymczasem Marchese i Stecchi, dowiedziawszy się, że sędzia podesty<sup>15</sup> okrutnie sobie z nim poczyna i już go na tortury bierze, drżąc o jego los, tak do siebie mówić jęli:

— Na ładnyśmy fortel wpadli, wyciągnęliśmy przyjaciela z patelni po to, aby go w ogień wrzucić!

Nie mieszkając pobiegli do gospodarza i opowiedzieli mu, jak się sprawa miała. Ów, pośmiawszy się należycie, powiódł ich do niejakiego Sandra Agolanti, który mieszkał w Treviso i wielkiego poważania u księcia zażywał. Opowiedziawszy mu wszystko szczegółowie<sup>16</sup>, prosili go, aby się nad nieborakiem Martellinem zmiłował. Agolanti, śmiejąc się z całego serca, udał się do księcia i tyle wskórał, że zaraz posłano po Martellina.

Wysłańcy znaleźli go stojącego w koszulinie przed sędzią i drżącego ze strachu. Sędzia był głuchy na wszystkie wywody; żywiąc zaś<sup>17</sup> przypadkiem jakiś wielki do Florentczyków rankor<sup>18</sup>, umyślił go powiesić i żadną modłą zgodzić się nie chciał na wydanie go księciu. W końcu jednak musiał ustąpić i oswobodzić Martellina.

Stanąwszy przed księciem, Martellino opowiedział mu swoje przypadki i jak o szczególną łaskę prosił, aby mu zezwolone zostało miasto opuścić, dopóki bowiem nie ujrzy się we Florencji, będzie czuł stryczek na gardle. Księżę z przypadku tego uśmieł się serdecznie, a później obdarował wszystkich trzech pięknymi szatami i puścił ich swobodnie. Tak tedy<sup>19</sup>, wielkiego niebezpieczeństwa ponad spodziewanie uszedłszy, zdrowi i cali do domu powrócili”.

## OPOWIEŚĆ DRUGA. MODLITWA DO ŚWIĘTEGO JULIANA

*Rinaldo d'Esti, złupiony przez łotrzyków, przybywa do Castel Guigielmo, gdzie go przyjmuje pewna wdowa. Wynagrodzony za swoje szkody, zdrów i cały do domu powraca.*

Długo śmiały się damy z przypadków Martellina, o których Neifile opowiadała. Z młodych ludzi najbardziej weselił się Filostrato. Ponieważ siedział obok Neifile, więc królowa jemu dalej ciągnąć opowieść kazała. Nie mieszkając zaczął w te słowa:

— Pragnę wam, miłe damy, opowiedzieć historię, co się zarazem katolickiej wiary, nieszczęśliwych przypadków jak i miłości tyczy. Wysłuchanie jej będzie pożyteczną rzeczą, zwłaszcza dla tych, co po niebezpiecznych krainach Amora<sup>20</sup> wędrując, nie odmawiają

<sup>14</sup>latwie — dziś popr. forma: łatwo. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>podesta — w średniowiecznych włoskich miastach najwyższy urzędnik o uprawnieniach sędziowskich i wojskowych. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>zaśię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>rankor (daw.) — żal, złość. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>Amor (mit. rzym.) — bóg miłości i pożądania, przedstawiany jako chłopak z łukiem i strzałami. [przypis edytorski]

modlitwy do świętego Juliana<sup>21</sup> i dlatego też nieraz złą znajdują gospodę, chociaż i dobre łoża im przypadnie.

„Działo się to jeszcze za życia markiza<sup>22</sup> Azzo z Ferrary; pewien kupiec, Rinaldo d’Esti zwany, bawił za swymi sprawami w Bolonii. W drodze powrotnej, gdy już z Ferrary wyjechał i ku Weronie się obrócił, napotkał jakichś ludzi, których za kupców wziął; byli to łotrzykowie i rozbójnicy. Rinaldo zawiązał z nimi rozmowę i nierozważnie przyłączył się do nich. Ci, uznawszy, że jest kupcem, wnieśli<sup>23</sup> z tego zaraz, że musi mieć pieniądze przy sobie, dlatego też postanowili napaść na niego, gdy tylko sposobność się zdarzy. Aby zaś żadnego podejrzenia co do nich żywić nie mógł, poczynali sobie jako ludzie skromni i zacni, rozprawiając z nim tylko o uczciwości i wierności danemu słowu, udając, że są wobec towarzysza pokorni i dobrotliwi, tak iż Rinaldo spotkanie z nimi za wielkie szczęście sobie poczytywał i był rad, że nie potrzebuje jechać jedynie w towarzystwie swego konnego sługi. Przechodząc z jednego przedmiotu na drugi, jako się to często w rozmowach zdarza, jęli wreszcie mówić o modlitwach, jakie ludzie do Boga zanoszą. Jeden z trzech hultajów zapytał Rinalda:

— Powiedzcie mi, panie, jaką modlitwę odmawiać zwykliście, bawiąc w drodze?

— Mówiąc po prawdzie — odparł Rinaldo — jestem w tych rzeczach człowiekiem nieuczonym i dobra doczesne lubiącym, dlatego też niewiele znam modlitw, żyję na dawną modłę i puszczam dwa soldy<sup>24</sup> za dwadzieścia cztery denary<sup>25</sup>. Wszakże mam to w obyczaju, że rano, wychodząc z gospody, odmawiam *Pater noster*<sup>26</sup> i *Ave Maria*<sup>27</sup> za spokój dusz rodziców świętego Juliana. Później modłę się do Boga i do tego świętego, abym następnej nocy dobry schron mógł znaleźć. Nieraz już w życiu, w czasie podróży, wielkie niebezpieczeństwa mi zagrażały, przecieżem zawsze szczęśliwie ich unikał najdując zacną gościnę i nocleg bezpieczny. Mocno w to wierzę, że święty Julian, do którego z modlitwą się obracam, łaskę tę dla mnie u Boga wyprosił. Gdybym jej rano odmówić przepomniał<sup>28</sup>, uwierzyć bym nie zdołał, by dzień mógł upłynąć dla mnie szczęśliwie, a noc wytchnienie mi przynieść.

— Zaliście dzisiaj ją odmówili<sup>29</sup>? — zapytał łotrzyk.

— Oczywiście! — odparł Rinaldo.

Tamten wiedząc już, jakie jest ich ułożenie, rzekł do siebie: »Niechaj ci ta modlitwa będzie ku pomocy. Jeżeli jednak dzisiejszej nocy nic nam nie stanie na wstręcie<sup>30</sup>, zaiste nie najlepiej noclegować będziesz«. Później rzekł głośno:

— Ja także wiele po świecie jeździłem, jednakże chociaż wielu mi modlitwę tę zachwalało, przecieżem jej nie odmawiał. Mimo to nie zdarzyło mi się, abym zły schron znalazł. Dzisiejszego wieczora obaczmy, kto z nas lepszą gościnę znajdzie, czy wy, coście tę modlitwę odmówili, czy też ja, com jej nie odmawiał. Po prawdzie, to zamiast niej mam zwyczaj recytować *Dirupisti*<sup>31</sup>, *Intemerata*<sup>32</sup> i *De profundis*<sup>33</sup>, które jak moja babka powiadała, wielką skuteczność mają.

Taką rozmową się bawiąc, kęs drogi przebyli; łotrzykowie czekali tylko sposobnej pory, aby swój szkaradny zamiśl uskutecznić. Późną godziną podjechali do Castel Guiguelmo<sup>34</sup>, aby się przez rzekę w bród przeprawić. Trzej hultaje widząc, że znajdują się na pustkowiu,

<sup>21</sup>święty Julian — zw. Gościnnym, patron miasta Macerata; opowieści mówią, że zabił on w gniewie własnych rodziców, którzy spali w jego łożu małżeńskim, ponieważ pomyślał, że jego żona go zdradza; w ramach pokuty swe życie poświęcił pielęgnacji pielgrzymów i trędowatych. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>markiz — tytuł arystokratyczny utożsamiany z tytułem margrabiego. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>wnieść (daw.) — tu: wnioskować. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>sold — dawna moneta włoska warta 12 denarów. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>puszczam dwa soldy za dwadzieścia cztery denary — przen.: nie mam dużych wymagań. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Pater noster* (łac.) — *Ojcze nasz*. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*Ave Maria* (łac.) — *Zdrowaś Mario*. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>przepomnieć (daw.) — zapomnieć. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>zaliście (...) odmówili — czy odmówiliście (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>30</sup>stanąć na wstręcie — przeszkodzić. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*Dirupisti* (łac.) — dosł. rozzerwałś; incipit Psalmu 116. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*Intemerata* (łac.) — dosł.: niepokalana; tytuł maryjnej pieśni średniowiecznej. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*De profundis* (łac.) — dosł.: z głębokości; incipit Psalmu 130. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>Castel Guiguelmo — dziś: Castलगuglielmo; miejscowość oddalona 80 km od Wenecji i 20 km od Rovigo. [przypis edytorski]

rzucili się na Rinalda, ograbili go całkiem i pozostawili go w jednej koszuli. Odjeżdżając zaś, rzekli doń:

— Idź i obacz, czy twój święty Julian ześle ci dzisiaj zacną gościnę, taką, jaką my od naszego świętego otrzymamy. — Rzekłszy to przeprawili się przez rzekę i wkrótce z oczu mu zniknęli.

Strachliwy sługa Rinalda widząc, że rozbójnicy napadają na jego pana, nie pośpieszył mu z pomocą, lecz zawróciwszy konia, puścił go na wyskok i zatrzymał się dopiero w Castel Guiglielmo. Nie kłopotując się o nic, legł tam na spoczynek, bowiem noc już późna była.

Rinaldo ostał się w jednej tylko koszuli na ciele, a do tego bosi; tymczasem zimno było srogie i śnieg padał gęsty.

Nieborak widząc, że noc zapada, nie wiedział, co mu począć należy. Drżał całym ciałem, szczekał zębami i rozglądał się wokół, szukając jakiegoś schronu na noc, aby nie umrzeć z zimna. Jednakże nic znaleźć nie mógł, bowiem niedawna wojna cały kraj spustoszyła. Nękanym zimnem, powlókł się w stronę Castel Guiglielmo, chociaż nie wiedział, zali jego sługa tam właśnie uciekł. Miał nadzieję, że jeśli tylko zdoła dostać się do zamku, Bóg mu jakąś pomoc ześle. Aliści o milę drogi od zamku noc gęsta go zaskoczyła; stanął na miejscu tak późno, że bramy były już zamknięte, a mosty zwiedzione. Pełen rozpacz, jęcząc i płacząc, jął<sup>35</sup> się rozglądać, aby gdzieś przynajmniej przed śniegiem się ukryć. Nagle obaczył mały domek wychylający się nieco poza mur zamkowy. Umyślił schronić się pod tym występem i tam świtu się doczekać. Udał się tam zatem i natknął się na zamknięte drzwi. Rinaldo zgarnął trochę słomy w pobliżu i legł pod progiem, skarżąc się żałośnie i szemrząc na świętego Juliana, który tak zawiódł jego zaufanie. Aliści święty Julian zatroskał się o Rinalda i wkrótce dał mu zacne schronienie.

W domku na wałach mieszkała młoda wdowa, mająca tak piękne ciało jak żadna inna białogłowa. Markiz Azzo miłował ją nad życie i trzymał ją tutaj, aby mieć sposobność chuciom swym dogadzać. Zdarzyło się, że markiz przybył tam poprzedniego dnia i obiecał, że tę noc razem z nią spędzi. Wdowa kazała w tajemnicy przygotować kąpiel i wystawną wieczerzę. Gdy już wszystko przysposobione było, a dama tylko na kochankę czekała, do markiza przybył goniec z takimi wieściami, że markiz zaraz w drogę wyruszył, do wdowy zaś pchnął umyślnego, aby jej doniósł, że dziś przybyć nie może.

Wdowie nie bardzo to w smak poszło<sup>36</sup>; rada nierada, postanowiła sama zażyć kąpeli, później zjeść wieczerzę i na spoczynek się udać. Kąpała się obok drzwi, za którymi leżał na ziemi nieborak Rinaldo. Siedząc w wodzie, wdowa usłyszała nagle, jak ktoś jęczy i zębami klekota, niby bocian dziobem. Przywoławszy tedy<sup>37</sup> służkę, rzekła do niej:

— Idź i obacz poprzez mur, kto tam leży u progu za drzwiami i czego tutaj chce.

Służka poszła, a że noc była jasna, obaczyła w półmroku Rinalda, który bosi, w jednej koszuli na ciele, drżał z zimna. Zapytała go, kim by był?

Rinaldo tak się trząsł okrutnie, że ledwie mógł kilka słów wymówić; opowiedział jej pokrótce, kim jest i w jaki sposób się tu dostał, później zaś<sup>38</sup> ją prosić żałośnie, aby mu tu z zimna umrzeć nie dozwoliła. Służka, litością zmiękczone, powróciła do swej pani i opowiedziała jej wszystko.

Dama, równie litością tknięta, przypomniała sobie, że ma klucz od tych drzwi, przez które markiz, nie chcąc, aby go widziano, niekiedy do domu wchodził, i rzekła:

— Idź i otwórz mu cichaczem; wieczerza jest przygotowana, tylko jeść jej nie ma komu, miejsca na nocleg także wystarczy.

Służka, wychwalając ludzkość swej pani, drzwi odparła i wpuściła Rinalda do środka. Wdowa, widząc go zmarzniętego na kość, kazała mu wejść do ciepłej jeszcze kąpeli. Ów, nie czekając, aż zaproszenie powtórzą, wszedł ochotnie do wody; gdy go ciepło przeniknęło, poczuł, że ze śmierci do życia powraca. Wdowa kazała dlań przysposobić szaty swojego męża, który zmarł był przed niedawnym czasem. A gdy je przywdział wydawały się jakby na niego skrojone. Czekając, co mu rozkaże, począł dziękczynienia czynić Bogu i świętemu Julianowi, którzy ponad spodziewanie od tak złej nocy go uchronili i do

<sup>35</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>pójść w smak (daw.) — spodobać się. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]



dobrej gospody, jako się zdało, przywiedli. Wdowa, zażywszy wczasu po kąpieli, kazała rozpalić wielki ogień w komnacie, a później spytała służki, co jej nieborak porabia.

— Gdy się w szaty przybrał — odparła służka — okazał się wielce urodziwym mężem. Wygląda przy tym na człeka obyczajnego i zacnego stanu.

— Przywołaj go tu zatem — rzekła dama — i powiedz mu, że ogrzeje się przy ogniu i zje wieczerzę, wiem bowiem, że jeszcze z pewnością nie wieczerzał.

Rinaldo wszedł do sali, a obaczywszy białogłową, która prawdziwą damą mu się wydała, pozdrowił ją dwornie i za okazane mu dobrodziejstwo podziękował, jak mógł najlepiej. Dama, upewniwszy się, że jej służka prawdę powiedziała, przyjęła go serdecznie i posadziła go koło ognia, obok siebie, prosząc, aby opowiedział jej o nieszczęściu, co go tu przywiodło. Rinaldo opowiedział wszystko szczegółowie<sup>39</sup>. Ponieważ wdowę doszły już o nim słuchy, gdy służący jego do zamku przybył, tedy uwierzyła bez trudu w jego słowa i oznajmiła mu, co wie o słudze, którego jutro łatwo będzie mógł odszukać. Gdy już stół zastawiono, Rinaldo na wezwanie wdowy ręce umył pospołu z nią i wieczerzać począł. Rinaldo był człkiem słusznego wzrostu, o wielce dwornym obejściu i o urodziwym obliczu, a przy tym młodzieńcem w kwiecie lat. Wdowa nie spuszczała zeń zachwyconych oczu, a że gdy na markiza czekała, chucie w niej rozgorzały, już widziała się z Rinaldem sparzoną. Po wieczerzy, wstawszy od stołu, jęła się naradzać ze służką, zali wolno jej skorzystać z dobra, przez fortunę zesłanego, skoro markiz zawód jej sprawił. Służka wiedząc, jakie jest życzenie jej pani, podwodzić ją jęła k'temu<sup>40</sup>, aby chętkom swym pofolgowała. Wdowa wróciwszy do kominka, przy którym siedział Rinaldo, spojrziała nań miłośnie i rzekła:

— Czemuście tak zamyśleni, Rinaldo? Zali mniemacie, że strata rumaka i szat jest niepowetowana? Pocieszcie się i rozweselcie, bowiem znajdujecie się u siebie w domu. Gdy patrzę na was, ubranego w strój mojego nieboszczyka męża, wydaje mi się, że to on we własnej osobie. Sto razy już mi przychodziła chętko pocałować was i uściskać. Gdyby nie obawa, że wam to nie będzie miłe, dawno bym to już uczyniła.

Rinaldo, usłyszawszy te słowa i widząc ogień w jej oczach, stanął przed nią, rozwarł ramiona i rzekł jak człek, którego nie w ciemni bito:

— Wszakże wam życie dłużny jestem; zawsze to powiem, wspomniawszy, od czegoście mnie wybawili. Szkaradną nikczemnością z mojej strony by było, gdybym nie starał się wszystkich waszych życzeń spełnić. Obejmijcie mnie zatem i całujcie mnie, ile tylko zapagniecie, ja jeszcze z większą chęcią wam odpowiem.

Więcej mówić nie było trza. Wdowa, miłosnymi płomieniami gorejąca, rzuciła mu się w ramiona i ciasno go obłapiwszy obsypała go gradem pocałunków, które Rinaldo z lichwą<sup>41</sup> jej oddał.

Później podnieśli się, udali się do jej komnaty i nie mieszkając położyli się do łoża. Nim dzień nastał, wiele razy do woli pragnienia swoje nasycili. Gdy jutrznia na niebie zajaśniała, Rinaldo, zgodnie z życzeniem wdowy, podniósł się z łożnicy. Aby nikt nic podejrzewać nie mógł, dała mu mocno wyszarżale suknie i napelnioną złotem sakiew, prosząc, by ścisłą tajność zachował. Później wskazawszy mu, którędy ma wejść do grodu i gdzie swego sługi szukać, wypuściła go tymi samymi drzwiami, którymi wszedł do niej.

Dzień się tymczasem zrobił zupełny. Rinaldo, udając, że przybywa z dala, wszedł do zamku, gdy tylko bramy otworzono, i swego sługę odszukał. Ubrawszy się w swoje szaty, które sługa miał w tłomoku, chciał już rumaka pachofka swego dosiadać, gdy wtem zdarzyło się jakby przez cud boski, że trzech hultaje, co go wczoraj ograbili, zostali na nowej swej niecnocie schwytni i do zamku pod strażą przywiezieni. Złodzieje przyznali się do wszystkiego. Rinaldo otrzymał z powrotem rumaka, odzież i pieniądze, nie odzyskał jeno<sup>42</sup> pary swych podwiązek, które łotrzyki gdzieś zatarcili.

Rinaldo, stokrotne dzięki Bogu i świętemu Julianowi złożywszy, odjechał do domu zdrów i cały, zasię<sup>43</sup> trzech hultaje następnego dnia jęli się huścić na wietrze”.

<sup>39</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>k'temu (daw.) — do tego. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>z lichwą — z procentem, z naddatkiem. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

## OPOWIEŚĆ TRZECIA. DZIWNE MAŁŻEŃSTWO

*Trzej bracia trwonią swoje majątki, popadając w ubóstwo. Jeden z ich siostrzeńców, wracając zrujnowany do kraju, zaznajamia się z pewnym opatem, który okazuje się córką króla angielskiego. Młódka wychodzi za niego za mąż i wynagradza straty jego wujom, przywracając im dawną pomyślność.*

Z podziwieniem wysłuchano opowieści o przypadkach Rinalda d'Esti; wszyscy wychwalali jego pobożność i dziękowali Bogu oraz świętemu Julianowi, który wyrwał go z tej srogiej opresji. Powszechnie się też na to zgodzono (choć cichaczem), że wdowa niegłupio postąpiła, nie gardząc dobrem, które jej niebo zesłało. Gdy rozprawiano, żartując o przyjemnej nocy, jaką spędziła, Pampinea, obok Filostrata siedząca, pojęła, że na nią teraz kolej przychodzi, zatem władze umysłu zebrawszy, obmyśliła historię, którą opowiedzieć miała. Zgodnie z rozkazem królowej, śmiało i wesoło ją<sup>44</sup> mówić w te słowa:

— Im więcej się o zrządzeniach fortuny mówi, tym więcej do rozpowiedzenia pozostawa temu, co w pamięci swej dobrze poszpera. Nikt temu nie winien się dziwować, zważywszy, że wszystkie rzeczy, które przez głupotę swoją własnością zwiemy, w rękach losu się znajdują i zgodnie z jego tajnym rozrządzeniem bezustannie od jednego człeka do drugiego kolejno przechodzą. Wszystko się zmienia z wyroku fortuny, jeno<sup>45</sup> my porządku tych przemian określić nie możemy. Chocia ta losu niestałość każdego dnia nam się na jasnie podaje i chociaż o niej już w poprzednich opowieściach rzecz szła, przecie zgodnie z wolą królowej, która pragnie, aby o tym właśnie przedmiocie mówić, do tamtych nowel i moją nowelę dołączam, może być, iż nie bez pożytku dla słuchaczy. Mniemam, że im ona do smaku przypadnie.

„Żył ongiś w naszym mieście pewien szlachcic, imieniem Tedaldo. Według jednych, wywodził się z rodu Lamberti, według drugich z rodu Agolanti. Ci ostatni, twierząc tak, opierają się może na zajęciu bankierskim jego synów, któremu wszyscy Agolanti oddawali się i oddają. Aliści nie szerząc się<sup>46</sup> zbytnio nad tym, do którego z dwóch tych rodów należał, powiem jeno, że był jednym z najbogatszych w swoim czasie szlachciców i że miał trzech synów. Pierwszy z nich zwał się Lamberto, drugi Tedaldo, a trzeci Agolante. Byli to urodziwi i kształtowi młodzieńcy. Zaledwie najstarszy do osiemnastego roku życia doszedł, gdy ojciec umarł, ostawiwszy im w dziedzictwie wszystkie swoje dobra ruchome i nieruchome. Młodzieńcy, ocknąwszy się pośród takich posiadłości i bogactw, a krom<sup>47</sup> chęci własnej rozkoszy innego preceptora nie mając, zaczęli majątności bez opamiętania marnotrawić.

Trzymali mnóstwo sług, mieli piękne rumaki, psy i sokoły, wyprawiali nieustanne uczty i turnieje, czyniąc nie tylko to, co szlachcicowi przystoi, ale i folgując wszystkim swoim młodzieńczym zachceniom. Niedługo tą modłą żyli, gdyż skarb pozostawiony im przez rodzica stopniał szybko.

Ponieważ na wydatki dochodów im nie starczało, jęli więc sprzedawać i w zastaw majątności oddawać. I tak jednej po drugiej się pozbywając, spostrzegli wreszcie, że im prawie nic nie pozostało. Bieda otwarła im oczy, które bogactwo oślepiło. Wówczas najstarszy, Lamberto, przywołał pewnego dnia swoich dwóch braci i wspomniawszy, w jakim to poważaniu żył ich rodzic, ukazał im, w jak nędznym się teraz znajdują stanie, do którego przywiódł ich szaleńcza rozrzutność. Później ją<sup>48</sup> ich z wszystkich sił nakłaniać, aby, nim nędza ich całkiem nie przydusi, sprzedali pospołu z nim tę resztę niewielką, co im jeszcze pozostawa, i w świat wyruszyli. Tak też uczynili.

Nie żegnając się z nikim, cichaczem opuścili Florencję i nigdzie po drodze nie zatrzymując się odplynęli do Anglii. Przybywszy do Londynu, wynajęli niewielki domek i jęli żyć wielce skromnie, wszystkie pieniądze na lichwę obracając. Fortuna tak im sprzyjała,

<sup>44</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>szerzyć się nad czymś — tu: rozwodzić się nad czymś. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

że przez kilka lat wielką moc grosza zebrali. Wróciwszy jeden po drugim do Florencji, nie tylko znaczną część swoich majątkości odkupili, ale nabyli także i mnogie nowe dobra. Później w stadła małżeńskie wstąpili.

A jako że w Anglii nadal na lichwę pożyczali, wyprawili tam młodego swego siostrzeńca, Aleksandra, który miał mieć nadzór nad ich pieniędzmi. Sami zaś, żyjąc we Florencji, zapomnieli, do czego ich rozrzutność już raz przywiodła, i jęli znów pieniądze marnotrawić, bez myśli o tym, że przecież każdy z nich ma rodzinę. U kupców we Florencji takie mieli zaufanie, że mogli pożyczyć największą nawet sumę. W ciągu lat kilku żyli w podobny sposób dzięki pieniądзом, które im Aleksander przysyłał. Ów pożyczał bowiem baronom pod zastaw ich zamków i innych posiadłości, wielkie z tego ciągnąc korzyści. Gdy trzej bracia rozrzutne życie prowadzili i skoro zabrakło im grosza, brnęli w długi, niezachwianą nadzieję w Anglii pokładając. Tam, wbrew wszelkim oczekiwaniom, rozgorzała wojna między królem a jego synem<sup>49</sup>. Cała ludność rozdzieliła się na dwa wrogie obozy. Wskutek wojny Aleksander utracił zamki baronów i znikąd już dochodów czerpać nie mógł. Mając nadzieję, że lada dzień między ojcem a synem do zgody przyjdzie, Aleksander nie opuszczał Anglii, jeno czekał, aż mu dobra jego z nawiązką zwrócone zostaną. Trzej bracia, żyjący we Florencji, nie ograniczali wcale swoich wydatków, ale przeciwnie, w coraz większe długi brnęli.

Aliści, jako że w ciągu lat kilku nic nie potwierdzało pokładanej w nich nadziei, trzej bracia nie tylko zaufanie u ludzi utracili, ale zostali wtrąceni do więzienia na żądanie tych, którym dłużni byli. Ponieważ na pokrycie długów nie starczyły ich majątkości, tedy<sup>50</sup> zostali pod kluczem. Żony ich i maleńkie dzieciątka jęły się tulać to tu, to tam, także po okolicznych wsiach, ubrane w nędzną odzież i żadnej nadziei na przyszłość nie mające.

Aleksander jeszcze przez kilka lat na pokój czekał; widząc jednak, że wojna trwa ciągle i że jego pobyt w Anglii nie tylko jest bezużyteczny, ale i niebezpieczny dla niego, umyślił do Włoch powrócić. Wyruszył w drogę sam jeden. Wyjeżdżając z Brugge<sup>51</sup>, obaczył, że jakiś opat w białym habicie także miasto opuszcza. Towarzyszyło mu wielu mnichów i siła<sup>52</sup> służby z mnogim sprzętem podróżnym na przedzie. Orszak zamykali dwaj znakomici rycerze z królewskiego domu. Aleksander, który ich znał, wstąpił z nimi w rozmowę i do ich kompanii ochotnie dopuszczony został. Po drodze uprzejmie zapytał ich, co to są za mnisi, jadący przodem z tak wielkim pocztem sług, i dokąd zmierzają?

Na to odparł jeden z rycerzy:

— Młodzieniec, jadący na czele orszaku, jest naszym krewniakiem, który teraz właśnie otrzymał jedno z najbogatszych opactw w Anglii. Ponieważ jednak zbyt jest młody, aby móc prawnie tę godność sprawować, więc jedziemy z nim do Rzymu, chcąc od Ojca świętego otrzymać dlań dyspensę i zatwierdzenie go na urządzie. Proszę was jeno<sup>53</sup>, abyście tego nie rozgłaszali.

Młody opat, jadący na czele orszaku, to znów obok sług swoich, obyczajem panów będących w podróży, znalazł się trafunkiem koło Aleksandra. Ów, jako młodzieniec wielce urodziwy, obyczajny i pełen wdzięku, z pierwszego wejrzenia przypadł opatowi do serca. Opat, przyzwawszy go, jął<sup>54</sup> uprzejmie z nim rozmawiać pytając, kim jest, skąd i dokąd jedzie? Aleksander, chcąc jego ciekawość zaspokoić opowiedział mu szczerze o wszystkich swoich sprawach i chociaż niewiele mógł sprawić, cnie usługi swoje mu ofiarował.

Opat, wysłuchawszy jego rozumnej i pięknej mowy i dworność jego zważywszy, pomyślał, że ten człek, mimo sprawianego przez się rzemiosła, musi być zacnie urodzonym, i wielce sobie go upodobał. Pełen współczucia dla jego nieszczęść, jął go pocieszać, zachęcając, aby nadziei nie tracił. Jeśli tylko dzielnym i wytrwałym będzie, Bóg nie tylko do poprzedniego go powróci stanu, ale jeszcze i wyżej go podniesie. A dowiedziawszy się, że Aleksander także do Toskanii zmierza, prosił go, aby razem drogę odbywali.

<sup>49</sup>rozgorzała wojna między królem a jego synem — nawiązanie do sporu między Henrykiem II Andegaweńskim (Plantagenetem) a jego synem, zw. Henrykiem Młodym Królem popieranym przez królów Francji, rozpoczęty w 1173 r. i ostatecznie zakończony zwycięstwem Henryka II. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Brugge — Brugia, miasto położone dziś na terenie Belgii, w średniowieczu ważny hanzeatycki port handlowy. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

Aleksander podziękował mu za słowa pociechy i oświadczył, że gotów jest we wszystkim przyrzec mu posłuszeństwo.

Spotkanie z Aleksandrem wzbudziło w opacie nowe uczucia i myśli. Podróżując razem, po kilku dniach przybyli do pewnego miasteczka, gdzie nie było zbyt wiele gospód. Ponieważ opat chciał się tam na nocleg zatrzymać, więc Aleksander umieścił go u pewnego oberżysty, którego znał dobrze, i kazał mu przygotować najlepszą w domu komnatę. A jakby był już jego marszałkiem, wielką mając biegłość w tych sprawach, zakrzętnął się, jak mógł najlepiej, i sługom opata dał różne kwatery w mieście.

Gdy opat wieczerzę skończył i gdy już znaczna część nocy minęła, a wszyscy na spoczynek się udali, Aleksander zapytał gospodarza, gdzie ma nocować?

— Wierę<sup>55</sup>, nie wiem tego — odparł gospodarz. — Widzicie przecie, że cały dom jest pełen i że ja wraz z moją rodziną muszę spać na ławach. Jednocześnie w komnacie opata znajduje się kilka worów z żytem, narychtuję wam z nich łożę; mniemam, że jakoś noc spędzicie.

— Jakże to? — odparł Aleksander — komnata opata jest tak mała, że z przyczyny jej ciasnoty nie mógł się w niej pomieścić ni jeden z jego mnichów. Gdybym sobie był wcześniej z tego sprawę zdał, wówczas gdy zasłony przybijano, kazałbym spać na worach jego mnichom, a sam udał się tam, gdzie oni noclegują.

— Już temu teraz zaradzić nie sposób — rzekł oberżysta — możecie wszakoż ułożyć się tam wygodnie. Opat śpi na łożu, którego zasłony są opuszczone. Przyniosę wam po cichu koldrę i będziecie spali jak suseł.

Aleksander, widząc, że niepokoju opatowi nie przyczyni, zgodził się wreszcie i na palcach wszedł do komnaty. Aliści opat, który nie spał, na łup nowych swoich pragnień zdany, nie uronił ani słowa z rozmowy Aleksandra z oberżystą, a także spostrzegł, gdzie Aleksander legł na spoczynek. Wielce z tego ukontentowany, rzekł do siebie: »Oto sam Bóg daje mi sposobność do zaspokojenia mych pragnień. Jeśli jej w lot nie schwycę, lepsza może mi się nigdy nie nadarzyć«.

Postanowiwszy zatem ze sposobności skorzystać, poczekał chwilę, aby wszyscy w domu zasnęli, a później cichym głosem zawołał na Aleksandra, by legł koło niego na łożu. Aleksander wzbraniał się długo, lecz wreszcie rozdział się i wszedł do łoża.

Opat położył mu rękę na piersiach i jął go macać, nie inaczej, jak to czynią młode dziewczęta ze swymi kochankami. Aleksander zadziwił się wielce, nie wątpiąc, że opat, występny pragnieniem powodowany, na niego dybie. Ów, żywszym poruszeniem Aleksandra na ślad podejrzeń jego naprowadzony, uśmiechnął się, a ściągawszy z ramion swoją koszulę, schwycił Aleksandra za rękę, położył ją na swoich piersiach i rzekł:

— Oddał od siebie głupie myśli, Aleksandrze, i przekonaj się, jaką prawdę tutaj ukrywam.

Aleksander poczuł pod dłonią dwa krągłe i mięle cycuszki, tak twarde, jakby z kości słoniowej uczynione były. Znalazszy je pojął, że opat jest białogłową; nie czekając tedy<sup>56</sup> na zaproszenie, obłapał ją ciasno i już chciał ją całować, gdy wtem ona rzekła:

— Nim bardziej jeszcze zbliżysz się do mnie, wysłuchaj, co ci powiedzieć pragnę. Jak to dowodnie widzisz, jestem nie mężem, lecz białogłową. Jako dziewica opuściłam dom rodzicielski; wybrałam się w drogę do papieża z prośbą, aby mnie za męża wydał. Jednocześnie na twoje szczęście, czyli też na moją zgubę, ledwie cię ujrzała, rozgorzałam do ciebie taką miłością, jaką żadna białogłowa nigdy mężczyzny nie obdarzała. Umyśliłam zatem ciebie za małżonka sobie wybrać. Jeśli jednak zostać nim nie chcesz, idź precz z mego łoża i wracaj na swoje posłanie.

Aleksander, chociaż jej nie znał, wniósł przecie z jej orszaku, że musi być białogłową bogatą i wysoko urodzoną. Ujrawszy zaś<sup>57</sup> jej piękność ani chwili się nie wahał, jeno<sup>58</sup> odparł, że jeśli taka jest jej wola, to i on innej nie ma.

Wówczas usiadła na łożu i przed obrazem, na którym był wizerunek Pana naszego, włożywszy mu pierścień na palec, zaślubiła go. Po czym uścisnęli się i resztę nocy z wielkim obojga ukontentowaniem na przyjemnych igrach spędzili. Umówili się, co im dalej

<sup>55</sup>wierę (daw.) — tu: doprawdy. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>zaś (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]



czynić należy. Przed świtem Aleksander wyszedł z komnaty równie cicho, jak i wszedł do niej. Nikt nie wiedział, gdzie tę noc przepędził. Na drugi dzień, pełen niewysłowionej szczęśliwości, pospołu z opatem i jego swiłą w dalszą drogę ruszył. Po wielu dniach podróży przybyli do Rzymu. Odetchnąwszy nieco po trudach drogi, opat w towarzystwie dwóch rycerzy i Aleksandra udał się do papieża i należną cześć mu złożwszy, w te słowa przemówił:

— Wiadomo Wam lepiej niż komukolwiek, Ojcze święty, iż ten, co zacnie i szlachetnie żyć pragnie, winien, ile zdoła, unikać wszelakich sposobności, które by go od prawej drogi odstrychnąć mogły. Także i ja, iż do cnoty dążę, by móc temu zadośćuczynić, przebrałam się w ten strój, w jakim mnie widzicie, uciekwszy skrycie od mego ojca, króla Anglii, z częścią jego skarbów. Ojciec mój bowiem, nie zważając na mój młody wiek, chciał mnie oddać w stadło sędziwemu królowi Szkocji. Umyśliłam zatem wybrać się do Was, Ojcze święty, abyście mi męża wybrali. Nie tyle trwoga przed sędziwym królem Szkocji do ucieczki mnie pobudziła, ile obawy, abym zostawszy jego małżonką nie pofolgowała mojej młodości i nie uczyniła czegoś wbrew prawom boskim i czci królewskiego rodu. Gdy z takimi zamysłami tu zdążałam, Bóg, który wie najlepiej, czego nam do szczęścia potrzeba, w swym niezmiernym miłosierdziu posłał mi na spotkanie tego, kogo na małżonka mi przeznaczył. Jest nim ten oto młodzieniec (tu na Aleksandra ukazała), obok mnie stojący.

Dla swych przymiotów i obyczajów godzien jest miłości każdej znamienitej damy, chociaż jego krew nie jest tak zacna, jak krew królewska. Przeto jegom wybrała i jego tylko na męża pragnę, choćby wola mego rodzica i wszystkich ludzi przeciwna temu być miała. Tak tedy znikła główna przyczyna, dla której w drogę się wybrałam. Zdało mi się jednak rzeczą słuszną do Rzymu dotrzeć, aby odwiedzić wszystkie miejsca święte, Was, Ojcze święty, obaczyć, a także, abym nasz związek, tylko przed Bogiem zawarty, Wam objawiła, a przeto i wszystkim innym do wiadomości podała. Pokornie tedy Was błagam, abyście raczyli przychylnie odnieść się do tego, co się podobało Bogu i mnie, i uszczęśliwili nas swoim błogosławieństwem. Otrzymawszy je, jeszcze bardziej wierzyć będziemy w życzliwość Tego, czym namiestnikiem jesteście. Będziemy żyli, wielbiąc Boga i Was do ostatniego dnia żywota naszego.

Aleksander osłupiał usłyszawszy, że jego żona jest córką króla angielskiego, i ucieszył się z tego wielce w głębi duszy. Aliści jeszcze więcej zdumieli się dwaj rycerze; pełni rankoru<sup>59</sup> i głębokiego nieukontentowania, ani chybi wyrządziliby krzywdę Aleksandrowi, a może i księżniczce, gdyby nie przytomność<sup>60</sup> papieża. Papież także niemało się zadziwił tak z ubioru księżniczki, jako i z jej wyboru, jednakże wiedząc, że cofnąć się już nie lza<sup>61</sup>, nie chciał jej prośbie odmówić.

Przed wszystkim uspokoił obu rycerzy, widząc ich pomieszenie, pogodził ich z księżniczką i Aleksandrem i zarządził, co czynić należy. W dniu oznaczonym przez niego na uroczystość zaślubin, na której byli przytomni wszyscy kardynałowie i różne osoby znamienite, zjawiła się panna młoda w królewskich szatach; piękność jej i wdzięk osobny<sup>62</sup> powszechny zachwyt wzbudziły. Aleksander przybył także wspaniale przyodziany; nikt z pozoru i ułożenia nie mógłby go wziąć za młodzieńca, który na lichwę pożyczka; raczej królewiczem być się zdawał. Dwaj rycerze osobną cześć mu teraz okazywali. Papież przykazał uroczyste zaślubiny odprawić, a później wspaniałe wesele im zgotował i udzielił im błogosławieństwa.

Aleksander z małżonką wyjechał z Rzymu do Florencji, dokąd już wieść o nich dotarła.

Mieszkańcy Florencji spotkali ich z oznakami czci i głębokiego hołdu. Księżniczka uwolniła z więzienia trzech braci, zapłaciwszy wszystkie ich długi i wprowadziwszy ich oraz ich żony z powrotem w posiadanie utraconych majątkości. Później wraz z mężem i Agolantem wyjechała do Paryża, gdzie ją król francuski wielce uroczyste przyjął. Dwaj rycerze udali się do Anglii i tyle sprawili, że król angielski, uradowany wielce, przyjął z powrotem do swej łaski córkę i zięcia, Aleksandra niebawem do stanu szlacheckiego

<sup>59</sup>rankor (daw.) — żal, złość. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>przytomność (daw.) — obecność (przy czymś). [przypis edytorski]

<sup>61</sup>nie lza — nie wolno; tu: nie można. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>osobny — tu: szczególny, osobliwy. [przypis edytorski]

podniósł i hrabstwem go obdarzył. Aleksander zasię<sup>63</sup> tyle starań dołożył i tak umiał się wziąć do rzeczy, że udało mu się ojca z synem pogodzić. Siła pomyślności stąd na Anglię spłynęło, co Aleksandrowi zjednało miłość i wdzięczność wszystkich mieszkańców. Agolante otrzymał z powrotem pieniądze, które mu się u ludzi należały, i do Florencji jako bogacz wielki powrócił. Jeszcze przedtem hrabia Aleksander szlachcicem go uczynił.

Aleksander żył szczęśliwie z swoją małżonką. Niektórzy powiadają, że dzięki swemu rozumowi i męstwu, przy pomocy teścia, zdobył Szkocję, której królem miał rzekomo zostać ukoronowany”.

## OPOWIEŚĆ CZWARTA. LANDOLFO RUFOLÓ

*Zubożały Landolfo Rufolo staje się korsarzem. Genueńczycy biorą go w niewolę. Rozbiwszy się na morzu, ratuje się dzięki skrzyni pełnej klejnotów. Na Korfu gości w domu pewnej białogłowy, a później, bogaty, do kraju wraca.*

Lauretta, siedząca obok Pampinei, postrzegłszy, że ta do szczęśliwego kresu opowieść swoją doprowadziła, bez zwłoki w te słowa mówić poczęła:

— Nie ma, miłe panie, według mego mniemania, większego fortuny dzieła, jak podniesienie kogoś z nędznej kondycji do królewskiego stanu; ukazała nam to Pampinea w swej opowieści o Aleksandrze. Jako że każdy z nas opowiadać winien zgodnie z materią wprzód określoną, nie będę się wzbraniała opowiedzieć noweli, która chociaż większe jeszcze niedole w sobie zamyka, przecie tak pomyślnego końca nie ma. Wiem dobrze, że nie będziecie mnie słuchali z równą ciekawością, aliści<sup>64</sup> nie stać mnie na nic innego i dlatego proszę, abyście mi wybaczyli.

„Powszechnie twierdzą, że wybrzeże między Reggio<sup>65</sup> a Gaetą<sup>66</sup> najpiękniejszą część Italii stanowi. Tutaj, opodal Salerno<sup>67</sup>, ku morzu obrócona, rozciąga się górzysta przestrzeń, którą mieszkańcy zwą wybrzeżem Amalfi, usiana miasteczkami, ogrodami i fontannami; tutaj mieszkają bogacze, głównie handlem się parający. Wśród tych miasteczek jest jedno, zwane Ravello<sup>68</sup>, gdzie i dziś nie brak ludzi bogatych; a gdzie podówczas mieszkał niezwykle bogaty kupiec, Landolfo Rufolo. Ów, chcąc majątność swoją podwoić (bowiem to, co miał, mu nie wystarczało), o mały włos nie zginął pospołu ze swymi skarbami. Landolfo, wszystko poprzednio dobrze zważywszy, jak to pospolicie kupcy czynią, nabył wielki statek, naładował go towarem kupionym za swoje pieniądze i popłynął do Cypru. Tutaj jednak obaczył, że do portu zawinęło wiele okrętów z takim samym ładunkiem; dla tej przyczyny nie tylko wypadło mu towar swój tanio sprzedać, ale nawet prawie darmo go oddać, dzięki czemu do ruiny został przywiedziony. Zrozpaczony tym wszystkim, nie wiedział, co począć, a widząc, że z bogatego człeka ma się stać w krótkim czasie nędzarzem, postanowił albo zginąć, albo też grabieżą straty swoje powetować, byleby tylko nie wracać ubogim tam, skąd bogatym wyjechał.

Znalazłszy kupca na swój wielki drewniany korab, za pieniądze stąd i za sprzedaż towarów otrzymane, nabył mały statek korsarski, opatrzył go we wszystko, w co należy, uzbroił i jął<sup>69</sup> się trudnić grabieżą, napadając na wszystkich, osobliwie zasię na Turków. W tej profesji fortuna była mu przychylniejsza niżli w handlu. W ciągu może jednego roku tyle tureckich okrętów ograbił, że nie tylko wszystkie straty sobie powetował, ale i majątność podwoił. Nauczony już poprzednim niepowodzeniem, nie chcąc po raz wtóry podobnego nieszczęścia doświadczać, rzekł do siebie, że dość mu tego, co już posiada. Dlatego też umyślił z bogactwem swoim do domu powrócić. Nie mając już do handlu ufności, poniechał wszelkich zakupów za zyskane pieniądze, jeno<sup>70</sup> na tym samym statku, który mu do korsarstwa służył, puścił się w drogę powrotną.

<sup>63</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>Reggio — dziś: Reggio di Calabria, miasto w pld. Włoszech, nad Cieśniną Mesyńską. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>Gaeta — miasto portowe w środkowej części Włoch, na zach. wybrzeżu. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>Salerno — miasto na zach. wybrzeżu w środkowej części Włoch, niedaleko Neapolu. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>Ravello — miejscowość w pobliżu Salerno. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Gdy się już do Archipelagu<sup>71</sup> zbliżał, podniósł się wiatr przeciwny, który morze poburzył. Jego mały statek nie mógł walczyć z falami, dlatego też Landolfo zawinął do zatoki na małej wysepce i skrywszy się od wiatru, jął czekać lepszej pogody. Do tej zatoki zawinęły niebawem dwa potężne genueńskie okręty. Płynąc z Konstantynopola i one schroniły się przed burzą, i z trudem do zatoki dotarły. Ludzie na tych okrętach, ujrawszy mały statek, zamknęli mu drogę i zapytali, skąd on płynie i do kogo należy. Zнали już z wieści, że właściciel statku jest wielce bogatym człkiem, i dlatego umyślili okrętem zawładnąć. Byli to ludzie chytry i żądni rabunku. Wyszadziwszy na brzeg kilku ludzi z kuszami i inną bronią, tak ich rozmieścili, aby nikt nie mógł wysiąść ze statku, pod grozą, że strzałami przesyty zostanie, sami zaś<sup>72</sup> na łodziach, wspomagani falą morską, zbliżyli się do statku Landolfa i zawładnęli nim bez trudu, wraz z całą załogą, nie straciwszy ani jednego człeka. Genueńczycy zabrali Landolfa na pokład jednej z barek, a później jego stateczek zatopili, wszystko z niego uniósłszy. Landolfo w jednym tylko kaftanie pozostał. Następnego dnia wiatr się odmienił i okręty podniósłszy żagle popłynęły na zachód. Tego dnia podróż szczęśliwą była, lecz wieczorem jął dąć silny wicher, który wielkimi bałwanami oba statki od siebie oddzielił. Wicher był tak potężny, że barka, na której znajdował się nieborak Landolfo, uderzywszy powyżej wyspy Kefalonia o mieliznę, uległa rozbiciu, niby szklanka o ścianę rzucona. Morze, jak to w podobnych wypadkach pospolicie bywa, upstrzyło się różnym sprzętem: towarami, skrzyniami i deskami. Noc była ciemna, morze wzburzone i groźne. Ci spośród nieszczęsnych rozbitków, którzy umieli, pływali uczepiwszy się rzeczy, co trafunkiem im pod ręce podpadły. Wśród tych nieszczęśliwców był i Landolfo. Ów, chociaż poprzedniego dnia śmierć często przyzywał mówiąc, że raczej umrzeć woli niż do domu nędzarzem powracać, teraz śmierci w oczy zajrzawszy, przeraził się jej i czepił się deski, jaka wpadła mu w ręce, mając nadzieję, że jeśli od utonięcia się uchroni, Bóg pomoc jakąś mu ześle. Usiadłszy na niej, czuł, jak morze i wicher miotają nim na wsze strony; tak trwało do świtu. Przy świetle dnia ujrzał przed sobą tylko obłoki, morze i skrzynię unoszącą się na falach, ilekroć się zbliżała, obawiał się, że ta skrzynia, uderzywszy o deskę, spowoduje jego upadek i przyczyną zatonięcia się stanie. Ilekroć skrzynia się doń zbliżała, odpychał ją ręką, walcząc ostatkami sił. Wkrótce jednak wicher utworzył wir powietrzny, morze wzburzył i tak silnie uderzył skrzynią o deskę, na której Landolfo siedział, że ów, obawiając się, że sił mu zabraknie, by do niej dopłynąć, wypuściwszy ją z rąk, poszedł pod fale. Raczej strach niż siła na powierzchnię go wy dobył; wówczas ujrzał, że deska płynie już na znacznej odeń odległości; zbliżył się zatem do skrzyni, która była bliżej, i oparłszy pierś na jej wieku jął ją rękami popychać. Rzucany falami to tu, to tam, nie wiedząc, gdzie się znajduje, i nie widząc nic wokół<sup>73</sup> morza, Landolfo męczył się tak przez cały dzień i noc następną. Nic nie jadł, jeno pił więcej, niżli miał chęć na to.

Następnego dnia był już podobny do gąbki; wpił się obiema rękoma w brzeg skrzyni, jak to pospolicie czynią tonący, gdy tylko coś pochwycą. Aliści z woli Boga czy też dzięki sile wiatru dopłynął do brzegu wyspy Korfu, gdzie właśnie pewna uboga białogłowa czyściła swoje naczynia piaskiem i myła wodą. Białogłowa ta, ujrawszy zbliżającego się Landolfa, nie mogła rozpoznać, co to jest, i dlatego przeraziła się, i z krzykiem cofnęła się od brzegu. Landolfo nie mógł już mówić, niewiele także widział, przeto nic do niej nie rzekł. Gdy jednakże fale do brzegu go zbliżyły, białogłowa baczniej spojrzawszy rozpoznała najpierw kształt skrzyni, a następnie, wyteżywszy wzrok, ramiona leżące na wieku, a później oblicze, i zrozumiała, w czym rzecz. Powodowana litością, weszła do morza, które już uspokoiło się, i schwyciwszy Landolfa za włosy, wydobyła go na brzeg wraz ze skrzynią. Z trudem oderwała jego ręce od skrzyni, oddała ją córce, która była z nią razem, sama zaś wzięła Landolfa na ramiona niby małe dziecko i zaniósła go do łożni. Tam go tarła i gorącą wodą zlewała, że wróciło weń ciepło i zemdlone siły. Następnie, zabrawszy go stamtąd, pokrzepiła go winem i słodyczami i przez kilka dni miała nad nim staranie. Landolfo, wróciwszy do sił, poznał wreszcie, gdzie się znajduje. Zaczyna białogłowa

<sup>71</sup>Archipelag — prawdopodobnie: Archipelag Cyklad na Morzu Egejskim. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

wa postanowiła wówczas oddać mu skrzynię, która mu życie ocaliła, i powierzyć go jego losowi.

Tak też uczyniła. Landolfo zapomniał już o skrzyni, mimo to wziął ją z rąk białogłowy, myśląc, że chociaż jej szacunek wielki nie jest, przecie będzie mógł, sprzedawszy ją, kilka dni przeżyć. Jednakże znalazłszy ją wielce letką<sup>74</sup> i tę nadzieję postradał. Gdy gospodyni z domu wyszła, oderwał wieko, chcąc się przekonać, co wewnątrz skrzyni się mieściło. Ujrzał wiele klejnotów w oprawie i bez oprawy. Znając się nieco na klejnotach, poznał ich wielką wartość. Złożywszy dzięki Bogu, który go raz jeszcze w potrzebie nie opuścił, pocieszył się znacznie i otuchy nabral. Jako człek, który w krótkim czasie dwa razy przeciwnemu losowi podlegał, teraz trzeciego nieszczęścia wielce się obawiał. Postanowił tedy<sup>75</sup> bardzo ostrożnie sobie poczynić, aby te skarby móc do domu dowieźć szczęśliwie. Owinął klejnoty w strzępy lachmanów i oznajmił białogłowie, że mu już skrzynia potrzebna nie jest. Poprosił ją, aby mu dała worek, a skrzynię w zamian sobie zatrzymała. Białogłowa ochotnie się na to zgodziła. Landolfo, podziękowawszy jej za wyświadczone mu dobrodziejstwa, pożegnał się z nią, wziął worek na plecy, wsiadł na barkę i popłynął do Brindisi<sup>76</sup>. Stamtąd wzdłuż brzegu dotarł do Trani<sup>77</sup>, gdzie spotkał kilku rodaków, sukienników. Opowiedział im o wszystkich swoich przypadkach, zataiwszy tylko znalezienie skrzyni, oni zaś przyodziali go, pożyczyci mu rumaka, dali przewodnika i odesłali do Ravello, dokąd udać się pragnął.

Tutaj bezpiecznym się poczytując, należynek<sup>78</sup> Bogu złożył i rozwiązał worek; pilniej niż poprzednio każdy klejnot wiele razy obejrzał i przekonał się, że tyle szacownych skarbów posiada, iż sprzedawszy je za stosowną sumę, a nawet i taniej, będzie dwa razy bogatszy niżli wtedy, gdy wyjeżdżał. Znalazłszy możliwość sprzedaży klejnotów, posłał znaczną kwotę tej cnej białogłowie, która go z wody wyciągnęła, a także i tym, co go w Trani przyodziali. Resztę pieniędzy zatrzymał dla siebie. Odrzekł się handlu i żył w dostatku do końca dni swoich”.

## OPOWIEŚĆ PIĄTA. ANDREUCCIO Z PERUGII

*Andreuccio z Perugii przybywa do Neapolu, aby zakupić konie. W nocy spotykają go trzy niebezpieczne przygody, z których wychodzi szczęśliwie, wracając z rubinem do domu.*

— Znalezione przez Landolfa kamienie — rzekła Fiammetta, na którą teraz kolej nadeszła — przywiodły mi na pamięć pewną opowieść, nie mniej niebezpieczeństw w sobie zawierającą niżli historia Lauretty, tym wszakoż od niej różną, że tam zdarzenia zapewne przez szereg lat trwały, tu zaś<sup>79</sup>, jak usłyszycie, wszystko się w ciągu jednej nocy stało.

„Żył ongiś w Perugii<sup>80</sup> pewien młodzieniec, handlarz końmi, Andreuccio di Pietro zwany. Zasłyszawszy, że w Neapolu jest dobry targ na rumaki, włożył do mieszka pięćset złotych florenów i ruszył w drogę w towarzystwie innych kupców, chociaż do tych pór nigdy za bramami swego miasta nie był. Do Neapolu przybył w niedzielę wieczorem; zasięgnąwszy języka od oberżysty, nazajutrz rano na targ się udał. Wiele koni obejrzał; niektóre mu się podobały i wiele z nich targował, jednakże przy kupnie nie mógł się na cenę zgodzić. Chcąc dać dowód, że o kupnie myśli, niezbyt chytrze sobie poczynił, bowiem kilka razy wyciągnął kiesę, pełną złota, na oczach przechodniów. W takiej chwili właśnie, gdy się swoją sakiewką pysznił, przechodziła mimo pewna urodziwa Sycylijka, gotowa zawsze pierwszemu lepszemu za lada grosz wdzięki swoje ofiarować. Minęła Andreuccia, nie będąc przezeń spostrzeżona. Zajrzawszy w sakiewkę jego, zaraz rzekła do się: »Komuż lepiej by było na świecie niż mnie, gdyby pieniądze te do mnie należały?«. Z dziewczyną tą szła pospołu pewna starucha, także Sycylijka, która ujrzawszy Andreuccia opuściła natychmiast swoją towarzyszkę i pobięła doń, aby go serdecznie uściskać. Młódka, ujrzawszy to, zatrzymała się na stronie i milcząc czekała na nią. Andreuccio obrócił się,

<sup>74</sup>letki (daw., gw.) — dziś popr.: lekki. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>Brindisi — miasto na Półwyspie Salentyńskim, na wsch. wybrzeżu Włoch. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>Trani — miejscowość niedaleko Brindisi. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>dank (daw., z niem.) — podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>Perugia — starożytne miasto w środkowych Włoszech. [przypis edytorski]



a poznawszy staruchę, wielce się uradował. Ta obiecała, że go odwiedzi w oberży, i po krótkiej rozmowie odeszła. Andreuccio zasię znowu na targ się udał, ale nic tego ranka nie kupił. Dziewczyna, która widziała mieszek Andreuccia i jego powitanie ze staruchą, jęła<sup>81</sup> się głowić nad tym, jakim by sposobem wyciągnąć odeń pieniądze w całości albo choćby w części. Zapytała się przeto ostrożnie staruchy, jak go poznała, kim on jest, skąd pochodzi i co tutaj robi.

Starucha opowiedziała jej o Andreucciu z takimi szczegółami, że i on sam by lepiej nie potrafił, bowiem długo mieszkała na Sycylii, a potem w Perugii pospołu z jego ojcem. Powiadomiła ją także, po co Andreuccio tu przyjechał i gdzie się w tej chwili udał.

Młódka, zebrawszy wiadomości o jego rodzinie i krewniakach, postanowiła na tych wiadomościach swój zamiysł chytrze osnować, aby tylko zaspokoić apetyt na jego pieniądze. Po powrocie do domu dała starusze robotę na cały dzień, tak aby z Andreucciem spotkać się nie mogła, i wzięwszy pewną młódkę, do podobnych posług zaprawioną, wysłała ją wieczorem do oberży Andreuccia. Ta zastała go trafunkiem samego u bramy oberży i zaraz jęła rozpytywać, gdzie niejakiego Andreuccia spotkać może. Usłyszawszy, że on właśnie jest tym Andreucciem, odwiodła go na stronę i rzekła:

— Pewna piękna i szlachetna dama z tego miasta pragnęłaby, jeśli można, widzieć się z wami.

Andreuccio, poczytujący siebie za urodziwego młodzieńca, zaraz wystawił sobie, że dama musi być w nim zakochana, tak jakby piękniejszego odeń mężczyzny w całym Neapolu naówczas nie było, i odparł, że jest gotów; potem zapytał, gdzie i kiedy zobaczyć się z nią może.

— Jeśli tylko przyjdź zechcecie, panie — odparła młódka — znajdziecie ją u siebie w domu.

Andreuccio podniósł się natychmiast i nikomu w oberży o zamiśle swoim nic nie powiedziawszy, rzekł:

— Idź naprzód, pójdę zaraz za tobą.

Filutka<sup>82</sup> zaprowadziła go do domu, który znajdował się w dzielnicy miasta, zwanej Malpertuggio<sup>83</sup>. Jak zaczęła była ta dzielnica, już sama nazwa wskazuje. Andreuccio, nic nie wiedząc ani nic nie podejrzewając, przeciwnie, wierząc, że do szlachetnej białogłowy się udaje, swobodnie wszedł do domu, poprzedzany przez służkę. Gdy wstępował na schody, dziewczyna zawołała na swoją panią, że Andreuccio przybył. Wówczas Andreuccio ujrzał ją, stojącą w oczekiwaniu na najwyższym stopniu schodów. Była jeszcze białogłową młodą, słusznego wzrostu, o pięknym obliczu, a przy tym obyczajnie i strojnie ubraną. Gdy się Andreuccio do niej zbliżył, zeszła o trzy stopnie mu naprzeciw z rozwartymi ramionami i obłapiwszy go za szyję trwała tak w milczeniu, jak gdyby zbytek czułości mowę jej odjął. Później ze łzami w oczach ucałowała go w czoło i rzekła głosem od szlochów przerywanym:

— Bądź pozdrowiony, Andreuccio, w moim domu!

Andreuccio, zdumiony tymi czułościami i całkiem osłupiały, odparł:

— Witam was, szlachetna damo.

Wówczas zalotnica schwyła go za rękę, wprowadziła na górę do sali, a stamtąd, nic nie mówiąc, do swojej komnaty pachnącej różami, kwiatem pomarańczowym i innymi wonnościami. Andreuccio ujrzał drogocenne zasłanie łoża pod baldachimem, wiele wspaniałych strojów rozwieszonych na drążkach, wedle tamtejszego obyczaju, a także siła<sup>84</sup> rozlicznych a bogatych sprzętów. Na ten widok Andreuccio uwierzył najmocniej, że z nader dostojną damą ma do czynienia. Usiedli pospołu na skrzyni stojącej w nogach jej łoża, a wówczas dama jęła<sup>85</sup> mówić w te słowa:

— Jestem pewna, Andreuccio, że dziwią cię zarówno lzy moje, jak i pieszczoty, bowiem nie znasz mnie i zapewne nigdy o mnie nie słyszałeś. Aliści usłyszysz zaraz rzecz, która w jeszcze większe zadziwienie cię wprawi; wiedz bowiem, że jestem twoją siostrą.

<sup>81</sup>jǫć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>filutka (daw.) — sprytna, swawolna kobieta. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>Malpertuggio — nazwa neapolitańskiej dzielnicy portowej; *mal pertuggio* oznacza „zła dziura”. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>jǫć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

Bóg okazał mi wielką łaskę, pozwolewsy mi ujrzeć przed zgonem jednego z moich braci (o jakże bym chciała wszystkich ich oglądać), dlatego też, kiedy mi umrzeć przyjdzie, będę umierała pełna pociechy. Ponieważ, jak mniemam, nic o tym wszystkim nie słyszałeś, tedy<sup>86</sup> ci opowiem. Pietro, twój i mój rodzic, jak wiesz pewnie, długo w Palermo przebywał. Dla swojej dobroci i łaskowości cieszył się i cieszy jeszcze osobnymi względami wszystkich, którzy go znali. Z tych, co go kochali, moja matka, szlachetnego rodu niewiasta, podówczas będąca wdową, miłowała go najbardziej. Nie bacząc na strach przed ojcem swym i braćmi, a także na cześć swoją, w tak ścisłym związku z nim żyć poczęła, że ja na świat przyszedłam i wyrosłam na taką, jaką mnie tu widzisz. Wkrótce potem Pietro musiał wyjechać z Sycylii i do Perugii się udać. Ostawił matkę moją i mnie, małą dziewczynkę, i odtąd, jakem słyszała, nie dał najmniejszego znaku swojej pamięci o nas. Gdyby nie był moim ojcem, silnie bym mu naganiała tę niewdzięczność wobec mojej matki (nie mówiąc już o miłości, jaką był winien dla mnie żywić, jako dla swej córki, urodzonej przecie nie z jakiejś służebnicy albo gamratki<sup>87</sup>!). Moja matka oddała mu samą siebie i wszystko, co posiadała, nie znając go nawet dostatecznie, wierną miłością jeno się powodując. Ale cóż? Dawne winy łatwiej jest naganiać niżli naprawiać. Rzecz się tak miała.

Ojciec pozostawił mnie w Palermo małym dziecięciem. Gdy wyrosłam już prawie na taką, jaką dzisiaj jestem, matka moja, kobieta bogata, wydała mnie za mąż za jednego mieszkańca Girgenti<sup>88</sup>, zacnego czelaka, z dobrego rodu idącego. Ów dla miłości do mnie i do mojej matki przeniósł się na stały pobyt do Palermo. Będąc zagorzałym gwelfem<sup>89</sup>, wdał się w tajny spisek z naszym królem Karolem, aliści<sup>90</sup> król Fryderyk, o wszystkim powiadomiony, zamysły ich udaremnił<sup>91</sup>. Mąż mój musiał uciekać z Sycylii właśnie wówczas, gdy ja myślałam, że stanę się tak znaczną damą, jakiej nigdy na tej wyspie jeszcze nie było. Unieśliśmy z sobą tylko tę małą część mienia, jaką wziąć w drogę mogliśmy (małą, powiadam, w odniesieniu do tego, cośmy posiadali), i pozostawivszy ziemię i pałace udaliśmy się tam, gdzie król Karol przebywał. Ów, wielce dla nas łaskawy, wynagrodził nas w części za straty, poniesione z przyczyny naszych dla niego usług. Dał nam we władanie ziemię i domy: teraz zasię<sup>92</sup> opatruje ciągle we wszystko łaskawie mego męża, twego szwagra, jak to będziesz mógł sam obaczyć. Oto jak się znalazłam tutaj, gdzie dzięki łasce boskiej, a nie twojej woli, oglądać cię mogę, mój miły bracie!

Rzekłszy to, znów go oblała za szyję i rzewnie płacząc, pocałowała go w czoło.

Andreuccio, słysząc tę bajdę, tak misternie utkaną i opowiedzianą tak składnie (tej, co ją opowiadała, głos ani razu nie zdradzał i słowa jej w gardle nie uwięzły), przypomniał sobie, że w samej rzeczy ojciec jego długo w Palermo przebywał. Zresztą, według siebie sądząc, wiedział, że młodzi ludzie pochopni są do miłości, poruszony zasię będąc łzami, pocałunkami i oznakami wielkiej czułości, uwierzył, że wszystko to jest prawda, przeto odparł:

— Nie powinno się to wam wydawać niczym szczególnym, zem się tak zadziwił, bowiem ojciec mój, nie wiedząc z jakiej przyczyny, nigdy o was ani o waszej matce nie wspominał, a jeśli i mówił, to do mnie te słowa nie doszły; w każdym razie nic o was nie wiedziałem, tak jakbyście wcale na świecie nie istnieli. Tym więcej się cieszę ze znalezienia siostry, im mniej się tego spodziewałem, tutaj, gdzie jestem tak samotny. Każdemu człowiekowi, najwyższej nawet godności, sprawiłoby radość poznanie was, a co dopiero mnie,

<sup>86</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>gamratka (daw.) — prostytutka. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>Girgenti — dziś: Agrigento; starożytne miasto sycylijskie. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>gwelf — stronnik władzy papieskiej we Włoszech (nazwa od nazwiska popieranych przez to stronnictwo książąt bawarskich Welfów współpracujących z Państwem Kościelnym); gwelfowie i gibellini stanowili rywalizujące ze sobą wrogie obozy polit. we Włoszech w XII i XIII w., w okresie zmagania cesarza Fryderyka II z papieżem; gwelfowie byli związani gł. z mieszczaństwem, natomiast gibellini reprezentowali gł. interesy feudalnego rycerstwa i popierali Cesarstwo Rzymskie. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>tajny spisek z naszym królem Karolem, aliści król Fryderyk (...) zamysły ich udaremnił — mowa o walce o władzę nad Sycylią, która wywiązała się między Fryderykiem II a Karolem II w latach 1295–1301; Karol pragnął zająć Sycylię, jednak mieszkańcy wyspy, sprzeciwiając się temu, koronowali swym królem Fryderyka, który zwyciężył i wypędził stronników Karola z wyspy. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

nędznemu kupcowi? Proszę was jeno, abyście mi zechcieli wyjaśnić, skąd dowiedzieliście się o moim pobycie w tym mieście.

— Powiadomiła mnie o tym dziś rano — odparła białogłowa — pewna uboga niewiasta, która często w domu moim przebywa. Mówi, że długo mieszkała pospołu z naszym rodzicem w Perugii i na Sycylii. Już bym była dawno pośpieszyła do was, gdyby nie wzgląd na to, że obyczajniej będzie gościć was w moim domu niżli was w zajęździe odwiedzać.

To rzekłszy, poczęła go wypytować troskliwie o wszystkich jego krewniaków, wymieniając ich po imionach. Andreuccio na wszystko odpowiadał, utwierdzając się w wierze, w co niezbyt mu wierzyć należało. Ponieważ rozmowa się przeciągała, a żar doskwierał okrutnie, gospodyni kazała podać greckie wino i słodczyce i poczęstowała nimi Andreuccia, który następnie do wyjścia się zbierał, bowiem już zbliżała się pora wieczerzy. Dama jednak przystać na jego odejście nie chciała; uczyniwszy pozór bardzo strapionej, objęła go i rzekła:

— Ach, ja nieszczęśliwa! Widzę teraz, jak mało dbasz o mnie. Nie myślisz wcale o tym, że znajdujesz się w przytomności<sup>93</sup> swojej siostry, nigdy dotychczas niewidzianej, że jesteś tu w moim domu, gdzieś powinien był zaraz po przybyciu do miasta zajrzeć, a tylko śpieszysz się na wieczerzę do gospody. Będziesz jednak wieczerzał dzisiaj u mnie. Chociaż męża mego nie ma w domu, co mi jest bardzo nie po myśli, przecież jako gospodyni będę cię umiała godnie przyjąć.

Andreuccio nie wiedząc, co odpowiedzieć, rzekł:

— Jesteście mi drodzy, tak jak tylko siostra drogą być mi może, jeśli jednak nie pójde, postąpię nieobyczajnie wobec tych, co na mnie przez cały wieczór będą czekali za stołem.

— Ach, na miłość boską! — zawołała białogłowa — zali u mnie w domu nie ma nikogo, kogo bym mogła posłać z wieścią do gospody, aby nie czekali na was z wieczerzą? Lepiej by nawet było, gdybyście zaprosili swoich towarzyszy na wieczerzę do mnie, potem, gdybyście na noc odejść zapragnęli, mielibyście w powrotnej drodze kompanię.

Andreuccio odparł, że nie ma wielkiej ochoty widzieć się tego wieczora z towarzyszami, jednakże jeżeli taka jest jej wola, to on jej posłuszny będzie. Wówczas dama udała, że wysłała umyślnego do gospody z wiadomością, aby na Andreuccia nie czekali za stołem. Po wielu gawędach zasiedli wreszcie do wieczerzy, z wyśmienitych potraw złożonej. Gospodyni przeciągnęła chytrze tę ucztę aż do późnej nocy. Gdy wstali od stołu, Andreuccio chciał się oddalić, ale filutka rzekła, że nigdy na to nie przystanie.

— Neapol nie jest miastem stosownym do przechadzek nocnych, zwłaszcza zaś dla przybyszów.

I zapewniła go, że wysyłając wiadomość, by go nie czekano z wieczerzą, donieść kazała zarazem, iż na noc do gospody nie wróci.

Andreuccio, dając wiarę wszystkiemu i znajdując ukontentowanie w jej towarzystwie, przystał. Po wieczerzy znów długimi — nie bez powodu — rozmowami się zabawiali. Gdy już część nocy minęła, zostawiła Andreuccia w swojej komnacie, wraz z małym pacholęciem, które miało mu być pomocne, gdyby czegoś potrzebował, sama zaś<sup>94</sup> ze swymi służebnicami udała się do innej. Żar był okrutny, dlatego też Andreuccio, pozostawszy sam, zdjął kaftan i spodnie i położył szaty na wezglowiu swego łoża. Wkrótce poczuł przyrodzoną potrzebę uwolnienia żołądka od nadmiernego ciężaru; spytał zatem chłopca, gdzie by ją zaspokoić było można. Chłopiec pokazał mu drzwi znajdujące się w rogu komnaty i rzekł: »Idźcie tędy«. Andreuccio wszedł tam śmiało, lecz postawiwszy trafunkiem nogę na deskę, która z przeciwnej strony oderwana była od belki, zleciał z nią pospołu w dół. Bóg był mu na tyle miłosiwy, że żadnych obrażeń przy upadku nie doznał, mimo że się z znacznej wysokości zwałił; ubabrał się za to cały nieczystościami, których to miejsce pełne było.

Dla lepszego rzeczy pojęcia opowiem szczegółowie<sup>95</sup>, jak owo miejsce wyglądało. Zajmowało ono wąską przestrzeń między dwoma domami. Na dwóch belkach, łączących w górze jeden dom z drugim, ułożono kilka desek, a na nich umieszczono siedzenie. Andreuccio polecał na dół z jedną z tych desek. Ocknąwszy się w jamie, srodze zmartwiony

<sup>93</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

tym przytrafieniem, jął<sup>96</sup> wołać na chłopca, aliści<sup>97</sup> ów, usłyszawszy odgłos spadającego ciała, pobiegł zaraz opowiedzieć o wszystkim swojej pani. Ta wbiegła natychmiast do komnaty Andreuccio i jęła szukać szat. Znalazła je wraz z ukrytymi w nich pieniędzmi, które Andreuccio, nikomu nie dowierzając, zawsze jak głupiec, przy sobie nosił. Owładnięwszy skarbem, dla którego ona, mieszkanka Palermo, stała się siostrą Perugijczyka i tę pułapkę chytrą wymyśliła, nie dbała już o Andreuccio, jeno zamknęła co prędzej drzwi, przez które ów wyszedł przed chwilą.

Gdy chłopiec nie odpowiadał, Andreuccio jął głośniejsze wołać, ale wszystko było na próżno. Wtedy zbudziło się w nim podejrzenie i jął domyślać się zasadzki, niestety zbyt późno. Przeskoczył przez murek, oddzielający smrodliwą jamę od ulicy, i udał się wprost do bramy domu, którą doskonale rozpoznał. Długo tutaj wołał, stukał do drzwi i łomotał na próżno. Wreszcie zapłakał, upewniwszy się o swym nieszczęściu, i jął mówić:

— O ja nieszczęśliwy, w tak krótkim przeciągu czasu straciłem pięćset florenów i siostrę!

Po wielu takich skargach znów zaczął do drzwi kołatać i krzyczeć; tak się przy tym tłukł, że ten hałas wielu sąsiadów przebudził i z łoża wywabił. Jedna ze służebnic damy, udając srodze zaspaną, ukazała się w oknie i rzekła:

— Kto tam do drzwi łomota?

— Zali mnie nie znasz — odparł — jestem Andreuccio, brat madonny Fiordaliso.

— Mój pocziwcz — rzekła służka — jeżeliś zbyt wypił, idź się wyspać i wróć tutaj rano. Nie znam żadnego Andreuccio i nie rozumiem twoich bredni. Idź z Bogiem i pozwól nam spać spokojnie.

— Jak to? — odparł Andreuccio — nie rozumiesz, co mówię? Rozumiesz na pewno. Jeżeli jednak krewniacy z Sycylii są już tacy, że tak prędko o sobie zapominają, to oddaj mi przynajmniej moje szaty, które u was zostawiłem, a z radością odejdę.

Na to służebna zaśmiaawszy się rzekła:

— Bredzisz widać coś przez sen, mój pocziwcz.

Powiedziawszy te słowa obróciła się i zatrzasnęła okno.

Wówczas Andreuccio, przekonany już całkiem o swojej szkodzie i prawie oszalały z rozpaczy, wpadł z gniewu w wściekłość i postanowił siłą odzyskać to, czego prośbami zdobyć nie mógł. Schwycił wielki kamień i jął nim walić w drzwi silniej niż przedtem. Mnodzy sąsiedzi, ze snu już przedtem wyrwani, pomyśleli, że to łże jakiś hultaj, co usadza się na biedną niewiastę; poruszeni do żywego wszczętym przez Andreuccio hałasem, ukazali się w oknach i na podobieństwo psów z jednej dzielnicy, szczekających na psaprzybłądę, krzyczeć jęli:

— Wstyd to i nieobyczajność o podobnej porze przychodzić do domu pocziwych białogłów i takie brednie pleść! Idź z Bogiem, pocziwcz, i pozwól nam spać. Jeżeli masz jakąś sprawę do tej damy, przyjdź jutro, a nocą tumultu nie wzniecaj!

Pewien miłośnik naszej filutki, w tym samym domu przebywający, ośmielony widać tymi słowami (Andreuccio ani go nie widział na oczy, ani o nim nie słyszał), pokazał się w oknie i grubym a dzikim głosem wrzasnął:

— Kto tam zacz?

Andreuccio podniósł głowę i o ile mógł dostrzec, ujrzał jakiegoś zbója z czarną, zmierzwioną brodą, zakrywającą mu pół oblicza. Ów wyglądał, jakby przed chwilą z łoża się podniósł; ziewał, niby z głębokiego snu wyrwany, i przecierał sobie ręką oczy.

Andreuccio rzekł z trwogą w głosie:

— Jestem bratem damy, która tutaj mieszka.

Tamten nie czekał, aż Andreuccio mówić skończy, i wykrzyknął sroższym jeszcze głosem:

— Nie wiem, wierę<sup>98</sup>, co mnie wstrzymuje od tego, aby zejść na dół i wymierzyć ci tyle kijów, abyś więcej nie powstał. Idź precz, osłe naprzykrzony, pijaku, co nam w nocy spać nie pozwalasz!

To rzekłszy, cofnął się i okna z hukiem zatrzasnął.

<sup>96</sup>jął (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]



Niektórzy z sąsiadów, lepiej znający naturę tego człowieka, jęli radzić Andreucciowi:  
— Na miłość boską, oddał się, przyjacielu, a jeżeli nie chcesz, aby cię jeszcze tej nocy zabito, umykaj stąd, pókiś cały.

Andreuccio, przerażony głosem i widokiem grubianina, zachęcony radami, które jak mu się zdało, z dobroci serca płynęły, i zrozpaczony stratą pieniędzy, udał się w stronę gospody tą samą drogą, którą niedawno wiodła go służka, nieświadomego, dokąd idzie. Nie mogąc znieść fetoru, którym całe jego ciało tchnęło, zapragnął wykąpać się i wymyć w morzu, dlatego też obrócił się na lewo i puścił się po drodze, Ruga Catalana zwanej. Dochodząc do górnej dzielnicy miasta, ujrzał nagle dwóch ludzi, idących mu naprzeciw z latarnią. Andreuccio przeraził się na myśl, że są to może zbiry albo jacyś łotrzykowie, i chcąc spotkania z nimi uniknąć, ukrył się, nie mieszkając<sup>99</sup>, w jakiejś opuszczonej rudery, stojącej w pobliżu. Aliści nieznajomi weszli tam także po chwili, jakby umyślnie do tego miejsca dążyli. Jeden z nich zdjął z pleców jakieś żelazne narzędzia i jął<sup>100</sup> je pospołu z towarzyszem uważnie oglądać, różne uwagi czyniąc. Nagle rzekł:

— Co to jest? Czuję zaduch tak obrzydliwy, jakiego w życiu nigdy nie zdarzyło mi się wachać.

Rzekłszy to, podniósł nieco latarnię i ujrzał nieboraka Andreuccia.

— Kto tu? — zawołali zdumieni.

Andreuccio milczał; nieznajomi podeszli z latarnią i zapytali się go, co tu czyni, taki zacuchnięty.

Andreuccio opowiedział im wówczas szczerze, co z nim zaszło. Dwaj ludzie, odgadując, gdzie się podobna rzecz zdarzyć mogła, wymienili dom Karalucha-Podpalacza. Jeden z nich, zwróciwszy się do Andreuccia, rzekł:

— Chociaż straciłeś pieniądze, przyjacielu, winieneś błogosławić Boga za to, żeś wpadł w ową jamę i żeś nie mógł się dostać na powrót do tego domu. Bądź upewniony, że gdybyś nie spadł i zasnął w komnacie, zamordowano by cię bezlitośnie, tak iż razem z pieniędzmi i żywot byś utracił. Płacz i narzekania na nic się teraz nie zdadzą. Prędszej zdejmiesz gwiazdę z nieba, niżli pieniądze swoje otrzymasz. Jeśli piśniesz o tym choćby słowo, on cię zabić gotów.

Rzekłszy to, jęli się naradzać, a potem jeden z nich obrócił się do Andreuccia z tymi słowami:

— Mamy wiele litości dla cię. Jeśli zechcesz do nas przymknąć i pomóc nam w jednej robocie, to ci przyrzekniemy, że otrzymasz zdobycz, która pokryje z nawiązką twoje straty.

Andreuccio, obłąkany rozpaczą, odparł, że się zgadza. Owóż trzeba wiedzieć, że tego dnia pochowano neapolitańskiego arcybiskupa, zwanego Filippo Minutolo<sup>101</sup>. Złożono go do grobu w wspaniałych szatach i z pierścieniem rubinowym na palcu. Kamień w pierścieniu wartal więcej niż pięćset złotych florenów. Zamiarem hultajów było ograbić trupa i wyjawili to Andreucciowi. Chciwość przemogła w Andreucciu rozsądek, tak iż udał się z nimi w drogę. Gdy szli do katedry, Andreuccio tak szkaradną woń z siebie wyziewał, że jeden z łotrzyków rzekł:

— Zaliżby<sup>102</sup> nie można było obmyć go trochę, aby nie śmierdział tak okrutnie?

— Jesteśmy wszak blisko studni — odparł drugi — gdzie zwykle wisi powróż i znajduje się wiadro. Chodźmy tam i wymyjmy go co prędszej.

Doszedłszy do studni przekonali się, że powróż wisi, ale że wiadra nie ma ani śladu. Wówczas umyślili przewiązać go powrozem i spuścić do studni, aby się tam opłukał od stóp do głowy. Gdy już będzie czysty, pociągnie za powróż, a wówczas wydobędą go na wierzch. Tak też uczynili. Kiedy Andreuccio w studni siedział, zdarzyło się, że ludzie ze straży miejskiej podeszli do studni, aby wody zaczerpnąć. Widocznie goniąc za kimś albo na skutek upału poczuli pragnienie. Dwaj hultaje, obaczywszy ich, rzucili się do ucieczki i umknęli niepostrzeżenie. Andreuccio, siedzący w głębi studni i już obmyty, szarpał za sznur. Stróże porządku, nękanii pragnieniem, złożywszy na ziemi broń swoją, tarcze i zwierchnie szaty, jęli ciągnąć za powróż, przekonani, że u jego końca znajduje się wiadro pełne wody po brzegi. Andreuccio, znalazłszy się u wylotu cembrowiny, puścił

<sup>99</sup>nie mieszkając (daw.) — tu: nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>Filippo Minutolo — arcybiskup neapolitański, zmarły 24 października 1301. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>zaliżby — czyżby. [przypis edytorski]

sznur i schwycił się rękoma brzegu studni, ci zaś ujrawszy go, zdjęci trwogą, rzucili powróz i zemknęli co tchu. Andreuccio zadziwił się srodze i tak osłupiał, że gdyby się nie był dobrze trzymał krawędzi, spadłby znowu niewątpliwie na dno i albo się zabił, albo też poranił okrutnie. Stanąwszy na ziemi i znalazłszy broń, której jego towarzysze nie mieli, jeszcze więcej się zadziwił. Stał tak chwilę jak wryty, nie wiedząc, co ma myśleć; zlorzeczył swemu losowi, wreszcie postanowił oddalić się z tego miejsca i pójść, gdzie go oczy poniosą. Wkrótce jednak spotkał znowu dwóch nieznanym, którzy powracali, aby go ze studni wydobyć. Ujrawszy go, jęli pytać ze zdziwieniem, kto go wyciągnął. Andreuccio odparł, że nie wie, i opowiedział im szczegółowie<sup>103</sup>, jak się rzecz miała i co znalazł koło studni. Ci odgadli, jak było, i ze śmiechem wytłumaczyli mu, jacy to ludzie go wydobyli.

Nie tracąc słów po próżnicy, bowiem już północ się zbliżała, udali się do katedry. Wszedłszy cichaczem do wnętrza, podkradli się do marmurowego wielkiego grobowca i żelaznym łomem podnieśli ciężką płytę tak, że jeden człowiek mógł się przez szparę wcisnąć do środka. Gdy płytę podparli, jeden z nich spytał:

— Kto z nas wejdzie?

— Ja nie — odparł drugi.

— Ani ja — rzekł pierwszy — niech włazi Andreuccio!

— Za nic na świecie! — zawołał Andreuccio.

Wówczas dwaj łotrzykowie obrócili się doń z tymi słowy:

— Co? Powiadasz, że nie wejdiesz? Do kroćset, jeżeli tego zaraz nie uczynisz, łupniemy cię przez łeb tym żelazem tak, iż na miejscu ducha wyzioniesz.

Andreuccio, zestraszony nie na żarty, spuścił się do grobowca, a schodząc pomyślał sobie: »Kazali mi wleźć do grobowca, aby mnie później na hak przywieść, bo gdy im całą zdobycz oddam i będę się z grobowca dobywał, uciekną i pozostawią mnie z kwitkiem«.

Dlatego też postanowił najpierw o sobie pomyśleć. Wspomniałszy o drogocennym pierścieniu, który jak mówili, znajdował się na palcu arcybiskupa, ściągnął go z trupa i na swój palec go nałożył. Później wziął pastorał, infułę, rękawiczki i szaty, tak iż zwłoki w jednej tylko koszuli pozostały, i wręczył to wszystko towarzyszom, oświadczając, że nic więcej nie znalazł. Ci, twierdząc, że powinien być jeszcze pierścień, nastawali na niego, aby dobrze szukał, lecz Andreuccio, udając, że szuka, przecie nic nie znajdował i trzymał ich przez pewien czas w niepewności. Łotrzykowie byli nie mniej chytry od Andreuccia — powtarzając mu, aby dobrze szukał, w odpowiedniej chwili wyjęli podporę spod płyty grobowca i uciekli. Andreuccio pozostał zamknięty w grobowcu. Łatwo sobie wystawić można, co czuć i myśleć musiał. Kilka razy próbował podnieść głaz barkami i głową, ale trudził się po próżnicy. Przenikniony boleścią niezmierną, przytomność stracił i zwałił się na ciało arcybiskupa. Gdyby ich ktoś ujrzał w tej chwili, z trudem by odróżnił żywego od umarłego. Przyszedszy do zmysłów, jął<sup>104</sup> gorzko płakać, bowiem wiedział, że albo, jeśli nikt już grobowca nie otworzy, będzie tu musiał zginąć z głodu i z zaduchu, wśród robactwa rozkładającego się ciała, albo też, gdy go tu ktoś zdybie, zawiśnie jak złoczyńca na szubienicy. Ponurzony w takich rozpacznych myślach, usłyszał nagle w kościele kroki i rozmowę kilku osób, o których wniósł, że przyszli tutaj uczynić to, co on już z swymi towarzyszami uczynił. Strach jego wzrósł niepomiernie. Przybysze, otworzywszy grobowiec i płytę podparłszy, jęli się sprzeczać, kto pierwszy z nich wejdzie. Nikt się nie chciał zgodzić. Po długim sporze ksiądz, należący do bandy, rzekł:

— Czegóż się obawiacie? Zaliż sądzicie, że was umarły pokąsa? Trupy nie jadają ludzi; ja tam wlezę.

Rzekłszy te słowa, położył się na piersiach na skraju grobowca, głowę zwrócił na zewnątrz i spuścił już nogi, aby się do wnętrza dostać. Andreuccio podniósł się wówczas, chwycił księdza za jedną nogę, tak jakby go chciał na dół wciągnąć. Ksiądz poczuwszy dotknięcie wrzasnął strasznym głosem i jednym susem z grobowca wyskoczył. Pozostali jego towarzysze, zestrachani okrutnie, pognali, jakby ich sto tysięcy diabłów goniło, zostawiając grobowiec otwarty.

<sup>103</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

Andreuccio, wielce uradowany z tak niezwykłego obrotu sprawy, zaraz wylazł z grobowca i tą samą drogą, co wszedł, wyszedł z kościoła.

Już dzień świtać zaczynał; Andreuccio szedł z pierścieniem na palcu, gdzie go oczy poniosą, aż wreszcie stanął na brzegu morza i gospodę swoją odnalazł. Jego towarzysze i oberżysta całą noc czekali na niego, trwając się o jego losy.

Opowiedział im o swoich zdarzeniach i słuszną wydała im się rada oberżysty, aby natychmiast Neapol opuścić. Andreuccio tak też czym prędzej uczynił i wrócił do Perugii, całe swoje mienie umieściwszy nie w zakupionych koniach, lecz w pierścieniu”.

## OPOWIEŚĆ SZÓSTA. ZNALEZIONE DZIECI

*Pani Beritola, odnaleziona wraz z dwoma kozłętami na wyspie, straciwszy dwóch swoich synów, udaje się do Lunigiany. Jeden z jej synów wstępuje tam na służbę do jej pana i za miłość do jego córki zostaje wtrącony do więzienia. Sycylia buntuje się przeciwko królowi Karolowi. Syn, przez matkę poznany, żeni się z córką swego pana i odnajduje brata. Za czym powracają do dawnej świetności.*

Damy i młodzieńcy wielce się śmieli z przypadków Andreuccia, opowiedzianych przez Fiammettę. Gdy opowieść skończona została, zgodnie z rozkazem królowej głos zabrała Emilia.

— Ważkie i przykre zdarzenia są spowodowane różnymi obrotami fortuny, o których nieraz mówimy, nie zaprzatając sobie jednak nimi zbyt głowę. Umysły nasze łaskami fortuny letko<sup>105</sup> usypiać się pozwalają. Pamiętać o tym winni zarówno szczęśliwi, jak i strapieni. Pierwszych uczyni ta pamięć przezornymi, drugich pocieszy. Chociaż o tej materii wiele już rozprawiano, przecie chcę wam o tym jeszcze opowiedzieć nowelę, równie prawdziwą, jak i wzruszającą. Kończy się ona pomyślnie, jednakże smutek i cierpienie były tak wielkie i długotrwałe, że nie wiem, czy późniejsza radość zatrzeć je zdołała.

„Musicie wiedzieć, miłe damy, że po śmierci Fryderyka II, cesarza, królem Sycylii ukoronowany został Manfred<sup>106</sup>, przy którym wysoką godność piastował pewien szlachcic z Neapolu, Arrighettem Capece zwany. Miał on za żonę cną i urodziwą białogłową, madonnę Beritolę Caracciola, również z Neapolu pochodzącą. Arrighetto był wielkorządcą wyspy. Ujrawszy, że król Karol zwyciężył pod Benewentem Manfreda<sup>107</sup> i życia go pozbawił, a całe państwo zholdował, niezbyt dowierzał już krótkotrwałej wierności Sycylijczyków. Nie chcąc zasię przymknąć<sup>108</sup> do wrogów swego pana, gotował się do ucieczki. Sycylijczycy dowiedzieli się o tym i nagle Arrighetto pospołu z wielu przyjaciółmi, sługami króla Manfreda, został jako jeniec wydany królowi Karolowi, któremu też wkrótce wydano całą Sycylię.

Madonna Beritola, nie wiedząc, co wśród losów przeciwności z Arrighettem stać się mogło, pełna trwogi na myśl o tych wypadkach, przy tym o cześć własną lękając się, ostawiła całą majątność i z ośmioletnim synaczkim, Giusfredi, ciężarna i nieszczęściem złamana, siadła na korab i odplynęła do Lipari<sup>109</sup>. Tu wydała na świat drugiego synka, którego nazwała Scacciato<sup>110</sup>. Przyjęła do niego mamkę i znów z wszystkimi pospołu na okręt wsiadła, aby dostać się do Neapolu, do swoich rodziców. Stało się jednak inaczej, niż myślała.

Galera, zmierzająca do Neapolu, siłą wichru zagnana została do wyspy Ponzo. Tam podróżni, ukrywając się w morskiej buchcie, jęli czekać pomyślnej pogody. Beritola, wysiadłszy pospołu z innymi na ląd, znalazła odosobnione miejsce, gdzie mogła w samotności popożgować łzom swym i żalom po stracie Arrighetta. Każdego dnia tak czyniła, ponurzona w ostatniej rozpacz; tymczasem pewnego poranku podplynęła niepostrze-

<sup>105</sup>letko (daw., gw.) — lekko. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>Manfred (1232–1266) — król Sycylii w latach 1258–1266, książę Benewentu i Neapolu, syn (z pozamałżeńskiego związku z Bianką Lancią) cesarza Fryderyka II, króla Sycylii. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>król Karol zwyciężył pod Benewentem Manfreda — mowa o bitwie pod Benewentem, która miała miejsce 26 lutego 1266 r.; w jej wyniku Karol Andegaweński przejął władzę nad Sycylią. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>przymknąć — tu: przystać; przyłączyć się. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>Lipari — sycylijska miejscowość w regionie Mesyna. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>Scacciato — dosł.: wygnany. [przypis edytorski]

zenie do korabia galera korsarska i wszystkich pochwyciła w niewolę. Beritola po całodziennych rozmyślaniach wróciła jak zwykle na brzeg, aby ujrzeć swoje dzieci, aliści<sup>111</sup> nikogo nie znalazła. Z początku wielce się zadziwiła, później domyśliwszy się, co się stać mogło, wpiła wzrok w dal morską i ujrzała niedaleko jeszcze galerę ciągnącą za sobą korab. Wówczas pojęła, że w ślad za mężem i dzieci swoje straciła. Samotna, biedna, przez wszystkich opuszczona, nie wiedząc, czy kogoś ze swoich kiedykolwiek jeszcze obaczy, upadła na piasek i przyzywała żalonym głosem męża i synaczków. Nie było nikogo, co by zimną wodą albo innym jakimś sposobem do utraconych zmysłów ją przywiódł. Duch jej mógł się nosić na swobodzie, gdzie chciał. Gdy utracona świadomość wraz ze łzami i skargami do słabego ciała wróciła, jęła<sup>112</sup> znów wołać na swoje dzieci, zaglądając do każdej pieczary. Ujrawszy, że trudy jej są daremne i że noc się zbliża, pomyślała o sobie i wróciła znad brzegu do jaskini, gdzie zwykle miała obyczaj płakać i żalić się. Minęła noc, pełna troski i śmiertelnej trwogi, nowy dzień nastąpił: była czwarta godzina nad ranem. Beritola, która poprzedniego wieczora nic w ustach nie miała, głodem nękana, jęła jeść korzonki. Nasyciwszy się, jak mogła, oddała się, gorzko płacząc, rozmyślaniom nad okropną przyszłością swoją. Gdy się tak żaliła, spostrzegła nagle łanię wchodzącą do sąsiedniej pieczary. Po chwili łania wyszła i powróciła do lasu. Beritola weszła do pieczary i ujrzała tam dwa kozłątka, tego samego dnia, widać, urodzone. Widok ten był jej miłszy i piękniejszy nad wszystko w świecie. Miała jeszcze mleko w piersiach po niedawnym rodzeniu, wzięła zatem kozłętą łagodnie na ręce i do piersi swych je przystawiła. Zwierzątka nie wzgardziły ofiarą i ssaly Beritolę, niby własną matkę. Od tej pory nie odróżniały już Beritoli od łani. Stroskanej białogłowie zdało się, że znalazła sobie towarzystwo na tej pustyni. Jadła korzonki, piła wodę i płakała gorzko, ilekroć wspomniała przeszłe swoje życie, synaczków i męża. Postanowiła tu żyć i umierać; z łanią oraz z jej dziećmi wielce się zaprzyjaźniła. Żyjąc tą modłą<sup>113</sup>, Beritola całkiem zdziczała. Po kilku miesiącach zdarzyło się, że do tego samego miejsca na wyspie, gdzie i ona wylądowała, przyplłynął okręt pizański, który przez kilka dni stał na kotwicy. Na okręcie tym znajdował się szlachcic pewien, zwany Currado, z markizów Malespini ród swój wiodący, wraz ze swą dzielną i cnotliwą żoną.

Wracali z pielgrzymki do miejsc świętych, które w królestwie Apulii się znajdują. Markiz, chcąc melankolię swoją rozproszyć, udał się pewnego dnia w głąb wyspy wraz z swoją żoną, sługami i psami. Opodal miejsca, gdzie znajdowała się Beritola, psy Currada zwęszyły dwa kozłątka, które, podrosły już, na trawie się pasły. Kozłątka, uciekając przed psami, nie szukały schronienia gdzie indziej, tylko w grocie, w której Beritola miała mieszkanie. Na ów widok Beritola podniosła się, schwyła kij i przegnała psy. Currado i jego żona, idący za psami, zbliżyli się i ujrzeli chudą, poczerniałą i włochatą białogłowę. Wielce się zdziwili, ona zaś<sup>114</sup> jeszcze bardziej od nich. Gdy na jej prośbę Currado psy odwołał, wszyscy zaczęli ją błagać, aby powiedziała im, kim jest i co tutaj porabia. Beritola, nic wówczas nie zatajając, oznajmiła im imię swoje i opowiedziała o swych nieszczęsnych przypadkach, a także o twardym zamiśle pozostania tutaj na zawsze. Currado, który dobrze znał Arrighetta Capece, usłyszawszy to, zapłakał z litości i trafnymi słowy starał się ją odwrócić od okrutnego zamysłu; przyrzekał, że ją do jej domu odwiezie albo też w swoim domu zatrzyma, gdzie powszechną czcią, niby jego siostra rodzona, cieszyć się będzie, aż do czasu, gdy Bóg lepszej jej nie ześle doli. Beritola przystać na to nie chciała. Currado pozostawił przy niej swoją żonę i rzekł odchodząc, by żywność tu przynieść kazała i dała Beritoli jedną z swoich sukien, a później czyniła wszystko, by przywieźć ją z sobą. Markiza długo wraz z Beritolą nieszczęście jej opłakiwała. Gdy przyniesiono żywność i suknię, z wielkim trudem tego dopięła, że Beritola odziała się i kęs stawy zjadła. W końcu, po wielu prośbach i przełożeniach, Beritola oznajmiła, że nigdy nie powróci tam, gdzie ją przedtem znali. Markiza wymogła przeto na niej obietnicę udania się z nimi do Lunigiany wraz z kozłętami i łanią, która właśnie powróciła do legowiska i ku zdumieniu markizy tysiące przymilań Beritoli czyniła. Gdy powiał wiatr pomyślny, Beritola, Currado i jego żona wsiedli na okręt, zabierając z sobą łanię i kozłętą (od których Beritola

<sup>111</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>tą modłą — tym sposobem; w ten sposób. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>zaś (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

nazwana została Cavriuolą<sup>115</sup>, aby nie wszyscy jej prawdziwe imię znali). Żegluga odbyła się pomyślnie, tak iż wkrótce przybyli do ujścia Magry, a tam wylądowawszy udali się do zamku markiza. Tutaj żona Currada dała Beritoli wdowie szaty. Beritola, jako dama dworu markizy, żyła odtąd skromnie, cnotliwie i cicho, troskliwą opieką otaczając łanię i nie zapominając o paszy dla zwierząt.

Korsarze, owładnąwszy w Ponzo okrętem, który Beritolę przywiózł, nie spostrzegli jej na wyspie i odpłynęli z jeńcami do Genui, gdzie podzielili się łupem. Mamka i dwoje dzieci przypadły w udziale niejakiemu Guasparrino d'Oria.

Odesłał on jeńców do swego domu, przeznaczając ich do różnych niskich posług. Mamka, zrozpaczona stratą swojej pani, przeklinała okrutny los swój i los dzieci, nie przestając głośno szlochać. Wkrótce obaczyła jednak, że lzy nic nie pomogą i że pospołu z dziećmi służyć musi. Chocia była biedną białogłową, przecie na bystrym rozumie jej nie zbywało. Skrzepiła, jak mogła, swoje upadłe siły, a później rozejrzawszy się wokół i uznawszy, dokąd przybyli, do tej myśli przysła, że jeśli pochodzenie dzieci się odkryje, wyniknąć stąd mogą dla nich znaczne niebezpieczeństwa. Żywiła przy tym nadzieję, że los ich się odmieni i że jeśli tylko przy życiu pozostaną, to do stanu sobie właściwego powrócą; dlatego też postanowiła przed nikim nie zdradzać nazwiska ich i rodu, aż do chwili gdy czas stosowny przyjdzie. Gdy się ktoś o nie pytał, odpowiadała, że to jej dzieci. Starszego chłopca zwała odtąd nie Giusfredi, lecz Giannotto di Procida, młodszemu imienia nie odmieniła. Z wielką pilnością wyjaśniła Giusfrediemu powody, które ją do przewrania go tak skłoniły, i wystawiła mu niebezpieczeństwo, na jakie by się naraził, dając się poznać — powtarzała mu to zaś siła<sup>116</sup> razy. Dzieciuk, rozumny nad podziw, postępował zgodnie z przestrogą. Dwaj chłopcy, nędznie odziani i jeszcze gorzej obuci, do wszelkich niskich posług używani, cierpliwie żyli pospołu z mamką przez wiele lat w domu pana Guasparrina. Giannotto już szesnasty rok życia ukończył; mając duszę szlachetniejszą, niż na niewolnika przystało, buntował się przeciwko swemu podłemu stanowi. Pewnego dnia wsiadł na galere, która do Aleksandrii zmierzała, i w ten sposób porzucił służbę u Guasparrina. Wiele krajów zwędrował, aliści<sup>117</sup> na wierzch wypłynąć nijak nie mógł. Po trzech czy czterech latach, które upłynęły od ucieczki z domu Guasparrina, Giusfredi, będący już urodziwym, słusznego wzrostu młodzieńcem, usłyszał nagle, że rodzic jego, którego miał już za umarłego, żyje, znachodząc się<sup>118</sup> w więzieniu, jak niewolnik strzeżony przez króla Karola. Straciwszy wszelką nadzieję, jął<sup>119</sup> się błąkać po świecie, aż wreszcie przybył do Lunigiany, gdzie losu zrządzeniem służby swoje ofiarował Curradowi Malespina, spełniając je ku wielkiemu jego ukontentowaniu. Gdy więc Giannotto na służbie u markiza pozostawał, zdarzyło się, że córka Currada, zwana Spina, ostawszy wdową po niejakim Niccolo da Grignano, do domu swoich rodziców powróciła. Spina była nader urodziwa i młoda, gdyż zaledwie szesnasty rok jej minął. Gdy jej wzrok padł na Giannotta, a wzrok Giannotta na nią, oboje wielką miłością do siebie zapłonęli. Miłość ta niedługo bez zwykłych sobie skutków pozostawała, chociaż przez kilka miesięcy nikt niczego się nie domyślał. Jednocześnie kochankowie, poczuwszy się przez to bezpiecznymi, jęli poczynać sobie mniej ostrożnie, niżby w takich okolicznościach należało.

Przechadzając się pewnego dnia po pięknym gaju, pełnym drzew cienistych, Spina wraz z Giannottem oddzieliła się od towarzystwa i w gąszcz się zasyła. Sądząc się być dosyć oddalonymi od ludzi, usiedli w ustroniu, pełnym kwiatów i ziół i otoczonym drzewami. Tam, radościom wzajemnej miłości folgując, dłuższy czas spędzili, który przez rozkosz odczuwaną jednej chwili mgnieniem im się zdawał, aż ich zaszła matka Spiny, a za nią w ślad i Currado.

<sup>115</sup>cavriuola (wł.) — lania. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>siła (daw.) — wiele, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>znachodzić się — znajdować się. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

Ów, pełen rozpaczy i gniewu, kazał ich bez słów trzem swoim sługom pojmać i odprowadzić w dybach do jednego z swoich zamków, sam zasię<sup>120</sup>, drząc z wściekłości, oddalił się z zamysłem skazania ich na śmierć niesławną.

Matka Spiny, chociaż równie poburzona i przekonana, że córka jej twardej kary jest godna, poznawszy ze słów Currada, z jakim zamiarem w stosunku do winowajców się nosi, przenieść tego po sobie nie mogła<sup>121</sup>. Pośpieszyła zatem do rozgniewanego męża i jęła go błagać, aby zapamiętałości unieść się nie dozwalał i nie starał się tak pochopnie stać się pod starość zabójcą swojej córki, brukając zarazem ręce krwią swego sługi. Znajdzie się przecie inny sposób, aby gniew jego słuszny zaspokoić; można wszak wtrącić ich do więzienia, gdzie będą cierpieli, oplakując grzech popełniony.

Zacna białogłowa tak długo mężowi to przekładała, aż wreszcie odwróciła go od zamysłu zabicia ich. Currado rozkazał, aby więziono ich oddzielnie i pilnie strzeżono. Mieli przy tym mało strawy otrzymywać i różnym prywacjom podlegać, aż do czasu, gdy Currado coś o ich dalszych losach postanowi. Tak się też stało. Nietrudno sobie wystawić, jak im musiało płynąć życie wśród łez, niewczasów<sup>122</sup> i nieskończonego postu, którego potrzeby nie uczuwali. Giannotto i Spina cały rok wśród takich mizeryj spędzili, a Currado ani razu nawet o nich nie wspomniał. W tym czasie zdarzyło się, że król Piotr Aragoński<sup>123</sup> pospołu z Gianem di Procida całą Sycylię poburzył i królowi Karolowi ją wydarł. Currado, jako gibelin<sup>124</sup>, wielce się z tego radował.

Giannotto, usłyszawszy o tym od jednego ze straży, westchnął głęboko i rzekł:

— O, ja nieszczęśliwy! Już od czternastu lat błąkam się po świecie i srogą biedę cierpię, niczego tak nie oczekując, jak tej chwili, która teraz nastąpiła. I cóż mi po niej, skoro już żadnej nadziei żywić nie mogę; jestem w więzieniu, skąd zapewne nie wyjdę żywym.

— Zaliż<sup>125</sup> — zapytał strażnik — dotyczyć ciebie może, co wielcy królowie czynią? Cóż byś ty robił na Sycylii?

— Zdawa mi się — odparł Giannotto — że serce mi pęka, ilekroć pomyślę, kim tam był niegdyś mój rodzic. Chocia byłem dzieckiem wówczas, gdyśmy ucieczką się salwowali<sup>126</sup>, przecie pamiętam, że za życia króla Manfreda ojciec mój wielki urząd sprawował.

— Kim był twój ojciec? — zapytał strażnik.

— Kim rodzic mój — odparł Giannotto — mogę już teraz jawnie to wyznać, popadłem już bowiem w to niebezpieczeństwo, którego lękałem się, gdybym był się zdradził. Zwał się on (i zwie się, jeśli jest jeszcze przy życiu) Arrighetto Capece, ja zasię jestem nie Giannottem, jeno<sup>127</sup> Giusfredim. Nie wątpię, że gdyby mnie z więzienia wypuszczono i gdybym na Sycylię się udał, na jakiś urząd znamienity zostałbym tam zaraz wysadzony.

Strażnik, o nic więcej się już nie rozpytując, doniósł o wszystkim Curradowi. Currado, chociaż udał, że go nic losy więźnia nie obchodzą, przecie pośpieszył do Beritoli i zapytał ją, zali miała z Arrighettem syna, imieniem Giusfredi? Beritola odparła z płaczem, że jeśli by starszy z jej synów przy życiu się znajdował, zwałby się Giusfredi i miałby teraz dwadzieścia dwa lata.

Currado, usłyszawszy o tym, upewnił się, że więzień jest prawowitym Giusfredim, i rozważył, że skoro tak jest, może spełnić czyn wielkiego miłosierdzia, a zarazem zmasać płamę na czci swojej córki, dając ją w stadło Giannottowi. Dlatego też kazał go tajnie do siebie przywołać i szczegółowie<sup>128</sup> wypytywać się go począł o całą przeszłość jego. Mając już dostateczne dowody, rzekł:

— Wiesz, Giannotto, jak ciężką zniewagę mi uczyniłeś przez osławę córki mojej. Odnosiłem się do ciebie zawsze łaskawie i przyjaźnie, ty zasię, jak na sługę pocziwego przystało, winieneś być czci mojej i mego dobra strzec. Zaiste, wielu ludzi, gdybyś im

<sup>120</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>nie móc przenieść czegoś — nie móc znieść czegoś; nie móc się z czymś pogodzić. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>niewczas (daw.) — niewygoda. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>Piotr Aragoński — znany również jako Piotr III Wielki, król Sycylii w latach 1282–1285, władzę zdobył w wyniku powszechnego powstania ludności przeciwko Andegawenom, znanemu jako *nieszpory sycylijskie*. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>gibelini — stronnicy władzy cesarskiej we Włoszech, przeciwnicy stronnictwa *gwelfów*. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>zaliż (daw.) — czyż. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>salwować się (z łac.) — ratować się. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

podobne plugastwo wyrządził, na śmierć niesławną by cię skazało, ja jednakże, mając serce litosne, nie byłem zdolny uczynić tego. Otóż, ponieważ jesteś, jak twierdzisz, synem szlachetnych rodziców, pragnę utrapieniom twoim koniec położyć i jeśli ty też tego zechcesz, wydobyć cię z opresyj, wśród których pozostajesz, i w jednym oka mgnieniu sobie i tobie honor powrócić. Spina, z którą niegodny jej ani ciebie związek miłosny cię łączył, jest wdową, mającą uczciwe wiano. Jakie są jej obyczaje i kto jest jej matką i ojcem, sam wiesz najlepiej. O twoim dzisiejszym stanie nie rzeknę nic. Jeśli zatem chcesz, Spina, która twoją miłośnicą była, stanie się twoją prawą małżonką, a ty pozostaniesz przy mnie, niby mój syn rodzony.

Siły Giannotta długie więzienie bardzo nadwątlilo, aliści<sup>129</sup> duch jego, od urodzenia szlachetny, wcale nie osłabł, tak jak i gorąca miłość, którą dla córki markiza żywił. Chociaż z całej duszy pragnął tego, co mu Currado ofiarował, i widział, że jest w jego ręku, przecie ani na krok nie cofnął się przed wypowiedzeniem tego, co wielkość jego ducha powiedzieć mu kazała.

— Currado — rzekł — ani chciwość władzy i pieniędzy, ani inna jakaś przyczyna nie skłoni mnie nigdy do tego, abym na życie i mienie twoje dybał zdradziecko. Pokochałem twoją córkę, kocham ją i zawsze ją miłować będę, bowiem poczytuję ją za godną miłości mojej. Jeśli, wedle pospolitego mniemania, niezbyt przystojnie sobie z nią poczytałem, to popełniłem jeno<sup>130</sup> grzech, który zwykle z młodością chadza w parze, tak iż aby go wykorzenić, trzeba by i młodość ze świata zgładzić. Gdyby ludzie sędziwi zechcieli przypomnieć sobie, że i oni niegdyś młodymi byli, i gdyby cudze błędy swoimi mierzyli, nie byłiby tak surowi i twardzi jak ty i inni. Popełniłem ten występki nie jako wróg, lecz jako przyjaciel. To, co mi teraz ofiarowujesz, zawsze było moim pragnieniem. Jeślibym na szczęśliwy skutek mych starań mógł liczyć, już dawno o rękę Spiny bym cię prosił. Szczęście jest mi dzisiaj tym droższe, im się mniej go spodziewałem. Jeśli jednak w duszy masz co innego, niż to w słowach okazujesz, proszę, nie oszukuj mnie nadzieją kłamliwą, pozwól mi wrócić do więzienia i rób tam ze mną, co chcesz. Tak miłuję Spinę, że przez miłość dla niej i ciebie miłować będę, a choćbyś mi największe katusze zadał, zawsze cię będę miał w zachowaniu i czci.

Currado, usłyszawszy te słowa, zadziwił się wielce, poznał godność i wielkoduszność młodzieńca, przekonał się o jego gorącej miłości do Spiny, tym bardziej więc go sobie upodobał. Zatem wstał, schwyił go w objęcia, ucałował i nie mieszkając<sup>131</sup> rozkazał przywołać Spinę. I ona w więzieniu wielce się zmieniła: wychudła, pobladła i opadła z sił tak, iż równie jak i Giannotto innym człowiekiem być się zdawała. W przytomności<sup>132</sup> Currada, z nieprzymuszonej woli zaręczyli się z sobą wedle miejscowego obyczaju. Potem w ciągu kilku dni, gdy jeszcze nikt o niczym nie wiedział, Currado rozkazał posyłać oblubieńcom wszystko, czego by potrzebowali lub co by im przyjemność sprawić mogło. Gdy zaś mu się zdawało, że nadeszła pora, aby i matkom pociechę sprawić, przyzwał do się żonę i Cavriuolę i z takimi słowy do nich się obrócił:

— Co byście rzekli, pani, gdybym wam powrócił starszego syna waszego, już jako męża jednej z moich córek?

Na to Cavriuola odparła:

— Mogłabym wam tylko rzec, że wdzięczna bym wam była przez całe życie jeszcze bardziej, niż jestem, jeśli to możliwe. Powróciłibyście mi to, co mi jest droższe nad życie własne, i moje zgasłe nadzieje na nowo ożywiłi.

Tu umilkła i zapłakała. Wówczas Currado do swojej żony się obrócił:

— Cóż byś rzekła, gdybym takim zięciem cię obdarzył?

— Nie tylko mąż z tak szlachetnego rodu — odparła markiza — ale i najniższej kondycji miłym mi będzie, jeżeli tylko tobie do serca przypadnie.

— Tedy — rzekł Currado — wkrótce wam wielką radość sprawię.

Stwierdziwszy, że młodzi odzyskali już dawny wygląd, Currado zapytał Giusfrediego:

— Nieprawdaż, że do zupełnej szczęśliwości tylko ci matki twojej brakuje?

<sup>129</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]



— Niestety — odparł Giusfredi — nie wierzę, żeby srogiemu losu dopuścił do grobu wtrącić jej nie miały. Gdyby jednak przy życiu się znajdowała, byłbym nad wyraz szczęśliwy. Dzięki jej radom odzyskałbym też, jak sądzę, część znaczną moich majątkości na Sycylii.

Wówczas Currado obie białogłowy przywołał. Niemało też uradowały się na widok oblubienicy i nie mogły pojąć, jaki to dobry duch Currada do takiej łaskawości przywiódł, że zezwolił on na stadło córki z Giannottem.

Tymczasem Beritola, mając w pamięci słowa Currada, jęła<sup>133</sup> się baczniej młodzieńcowi przyglądać. Jakaś tajemnicza siła ożywiła w jej pamięci dziecinne rysy jej syna. Nie czekając na inne dowody, rzuciła się w ramiona Giusfrediego. Zbytek radości i czułości matczynej jednego słowa przemówić jej nie dozwolił, tak ją przy tym siły opuściły, że prawie jak martwa w ramionach syna leżała. Chociaż Giusfredi był całkiem osłupiały, przecie przypomniał sobie, że nieraz tę białogłową w zamku widywał, nie poznając jej wcale. Ale głos krwi niezwłocznie dał mu poznać matkę i teraz wyrzucił sobie to zaniebdanie, trzymając ją zapłakaną w ramionach i całując gorąco jej ręce.

Gdy już Beritola, dzięki staraniom markizy i Spiny, które wodą jej twarz orzeźwiły, innych nie szczędząc zabiegów, do utraconych zmysłów przyszła, znowu schwyciła syna w ramiona, płacząc z radości i pieszczone słowa szepcząc. Pełna macierzyńskiej czułości, całowała go bez końca, a on pieszczotom tym się poddając patrzył na nią uszczęśliwiony. Powtórzyły się kilkakrotnie te uniesienia powitalne, a wszyscy przytomni, widząc to, wielką radość odnieśli.

Gdy syn i matka już sobie nawzajem o swoich przypadkach opowiedzieli, Currado oznajmił przyjaciółom o małżeństwie swojej córki i rozkazał przygotować wszystko do świetnej uczy.

— Currado — rzekł doń Giusfredi — wiele radości mi przysporzyliście i przez długi czas matkę moją mieliście w czci należnej: abyście zaś teraz nie poniechali niczego, co w waszej mocy leży, proszę was, uradujcie matkę moją i uświetnijcie uroczystość weselną przytomnością<sup>134</sup> brata mego, którego jako sługę niejaki Guasparrin d’Oria w domu swoim trzyma. Ów, jak wam już nadmieniałem, mnie i jego na morzu uprowadził. Krom<sup>135</sup> tego poślijcie kogoś na Sycylię, aby dowiedział się, co dzieje się w tym kraju, i zasięgnął języka o moim rodzicu Arrighetto: żyw on li czy też martwy, a jeśli żyw, to w jakim znajduje się stanie?

Ta prośba Giusfrediego wielce do serca Curradowi przypadła; nie mieszkając<sup>136</sup> wyprowadził kilku rozumnych ludzi do Genui i na Sycylię. Ten, co do Genui się udał, odnalazłszy Guasparrina, jął go prosić w imieniu Currada, aby mu wydał Scacciata i jego mamkę. Opowiedział mu zarazem szczegółowie<sup>137</sup> o wszystkim, co Currado w stosunku do Giusfrediego i jego matki uczynił. Messer Guasparrin, to usłyszawszy, wielce się zadziwił i rzekł:

— Dla zadowolenia Currada gotów jestem uczynić wszystko, co mogę. W samej rzeczy w domu moim już od czternastu lat żyje chłopiec, o którym mówicie, a także jego mamka. Ochotnie odeślę ich Curradowi. Powiedzcie jednak swemu panu, żeby miał się na baczności i nie dawał wiary baśniom Giannotta, który twierdził, że się zwie Giusfredi. Jest to bowiem większy frant, niżby ktokolwiek myślał.

To rzekłszy, godnie przyjął wysłańca, a potem kazał przyzwać tajnie mamkę i o wszystko ją się wypytał. Mamka usłyszawszy, że na Sycylii wybuchło powstanie i że Arrighetto żyje, pozbyła się wszelkiej trwogi i opowiedziała mu po kolei wszystko, wyjaśniając zarazem przyczyny, dla których w ten, a nie inny sposób sobie poczyniła.

Messer Guasparrin poznawszy, że słowa mamki zgadzają się całkiem ze słowami wysłańca, począł niejaka wiarę do wszystkiego tego przykładać, jednakże, jako człek wielce chytry, na wszelkie sposoby wypytał jeszcze o rozliczne szczegóły. Wszystko wszakże coraz bardziej prawdę tej historii potwierdzało. Wówczas, zawstydzony się swego złego obchodzenia się z chłopcem, w nagrodę dał mu za żonę jedną z pięknych córek swoich

<sup>133</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>przytomność (daw.) — obecność. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

i obdarzył ją znacznym wianem, wiedział bowiem, kim był i jest Arrighetto. Dziewecze dopiero jedenasty rok życia minął. Po świetnej uroczystości on sam z młodzieńcem, córką, mamką i wysłańcem Currada wsiadł na niewielką, lecz zbrojną galereę. Popłynęli do Lerici<sup>138</sup>, gdzie ich Currado przyjął. Później udali się do jego pobliskiego zamku, gdzie wspaniała uczta już na nich czekała. Nie można słowami wyrazić, jaka była radość matki oglądającej swego syna, szczęście obu braci i mamki, ich wesele na widok Guasparrina i jego córki, a także uciecha Guasparrina z ich przytomności<sup>139</sup> oraz powszechna szczęśliwość wszystkich pospołu z Curradem, jego żoną, synami i przyjaciółmi.

Dla dopełnienia tej radości podobało się jeszcze Bogu, hojnemu i szczodremu dawcy, przesłać im radosne wieści o pomyślnym stanie Arrighetta Capece. W czasie uczty, gdy liczni zaproszeni goście dopiero pierwszą potrawę spożywali, zjawił się poseł przybywający z Sycylii i oznajmił, że Arrighetto, do więzienia przez króla Karola wtrącony, uwolniony został przez lud, który po wybuchu powstania na wyspie rzucił się na więzienia, wyciął w pień straż i obwołał Arrighetta, jako głównego wroga króla Karola, swoim wodzem. Pod jego rozkazami wyrżnięto i przegnano Francuzów. Za ten czyn król Piotr do największej swej łaski Arrighetta przypuścił, powracając mu wszystkie utracone dobra, tak iż nie zbywa mu na niczym<sup>140</sup>. Posłaniec dodał, że Arrighetto przyjął go godnie i że wielce się uradował z wieści o żonie i synach, o których nie wiedział nic od czasu swego uwięzienia; wysłał także w ślad za nim fregatę z gronem dworzan, którzy wkrótce tu przybędą. Słów wysłańca z wielką radością wysłuchano. Potem Currado w otoczeniu swych ludzi ruszył na spotkanie dworzan, posłanych po Beritolę i Giusfrediego, i przywiódł ich na ucztę, której jeszcze do końca daleko było. Beritola, Giusfredi i wszyscy pozostali przyjęli ich z taką radością, o jakiej dotychczas na świecie nie słyszano. Dworzanie, zanim za stołem zasiedli, pokłonili się Curradowi i jego małżonce i w najgorętszych słowach, w imieniu Arrighetta, za pomoc okazaną Beritoli i jego synowi dank<sup>141</sup> mu złożyli, wraz z zapewnieniem wszelkich służb swego pana. Później obróciwszy się do Guasparrina (dla którego było to niespodzianą łaskawością), rzekli, iż są upewnieni, że skoro Arrighetto uzna o dobrodziejstwie okazanym Scacciatowi, to odpowie mu równym albo i większym jeszcze dobrodziejstwem. Potem jęli wesoło ucztować, wznosząc okrzyki na cześć dwu par nowo poślubionych. Currado jeszcze przez wiele dni zięcia swego, krewniaków i przyjaciół gościł. Wreszcie Beritola, Giusfredi i inni postanowili odjechać. Żegnani łzami Currada i jego małżonki a także Guasparrina, wsiadli na fregatę pospołu ze Spiną. Mając wiatr pomyślny, wkrótce do brzegów Sycylii przybyli, gdzie Arrighetto z taką świetnością powitał w Palermo i synów, i niewiasty, że tego wysłowić nie lza<sup>142</sup>. Jak powiadają, długo jeszcze żyli wszyscy szczęśliwie, przyjaźnie, pomnąc o Bogu, który im tyle dobrodziejstw wyświadczył<sup>143</sup>.

## OPOWIEŚĆ SIÓDMA. ALATIEL, NARZECZONA KRÓLA ALGARBII

*Babiloński sultan oddaje w zamęcie córkę królowi Algarbii. Wskutek różnych przypadków, w ciągu czterech lat przechodzi ona w różnych miejscach przez ręce dziewięciu mężczyznom. W końcu, zwrócona ojcu jako dziewczica, znowu posłana zostaje królowi Algarbii, aby się stać jego żoną.*

Gdyby opowieść Emilii była się jeszcze nieco przeciągnęła, litość, jaką młode damy dla nieszczęść Beritoli odczuwały, ani chybi, zapłakać by im kazała. Gdy jednak opowieść do kresu dowiedziona została, królowa wyraziła życzenie, aby Panfilo dalej opowiadał. Panfilo tedy<sup>143</sup> posłusznie zaczął w te słowa:

— Trudno odgadnąć, miłe damy, co nam pożytek przynosi. Wielu mniema, że wzbogaciwszy się mogliby żyć bez trosk i w szczęśliwości, dlatego też nie tylko proszą o to Boga

Szczęście, Los

<sup>138</sup>Lerici — miejscowość w regionie Liguria w północnych Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>przytomność (daw.) — obecność. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>nie zbywać na niczym — nie brakować niczego. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>dank (daw., z niem.) — podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>nie lza — nie można; tu: nie sposób. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

w modlitwach, ale i uporczywie, trudów i wysiłków nie szczędząc, bogactwo to zdobyć się starają. Gdy jednak już cel swój osiągną, zaraz znajdują się ludzie, co z żądz na wielkie dziedzictwo życia ich pozbawiają, które tak miłowali nawet wtedy, gdy nie byli jeszcze bogaci. Inni z podłego stanu idąc, przez tysiące niebezpieczeństw, krew braci i przyjaciół, na stopnie tronu się wznoszą, mniemając, że tam największa szczęśliwość stanie się ich udziałem. Jednocześnie spostrzegają, że życie możliwych tego świata pełne jest niezliczonych trosk i trwóg, a nieraz także dowodnie na sobie się upewniają, że z królewskiego pucharu truciznę wypić można. Siła<sup>144</sup> było na świecie tych, co gorąco pragnęli mocy i piękności ciała swego albo marzyli o zwierzchnich życia ozdobach, a upewnili się, że ich pragnienia złe były, dopiero wówczas, gdy stały się one przyczyną ich zguby lub mizeryj wszelakich. Nie będę tu mówić szczegółowie<sup>145</sup> o wszystkich ludzkich dążeniach, twierdząc jeno<sup>146</sup> i za pewne to trzymam, że nie masz ani jednego, o którym by powiedzieć można, że jest ono bezpieczne od losów niestatk<sup>147</sup> i że śmiertelni je wybrać powinni. Jeżeli chcemy trafnie postępować, musimy przyjmować i zachować to, co Bóg nam zsyła. Bóg jeden wie dobrze, czego nam trza, i On nam posłać to może. Gdy mężczyźni grzeszą pragnieniem owdzięcia wielu rzeczami, wy, białogłowy, grzeszycie przede wszystkim żądzą piękności. Nie wystarcza wam uroda, której natura wam udzieliła. Pragniecie ją jeszcze osobnymi kunszty podnosić.

Dlatego też chcę wam opowiedzieć o pewnej Saracence<sup>148</sup>, która na swe nieszczęście wielką pięknnością celowała. Dzięki tej urodzie przez cztery lata dziewięć razy na nowo wesele odprawiać musiała.

„W dawnych czasach sułtanem Babilonu<sup>149</sup> był Beminedab, któremu jak najlepiej wszystko się wiodło. Miał on wiele dzieci, a pomiędzy nimi jedną córkę, zwaną Alatiel. Piękność jej, wedle słów każdego, co ją widział, zaćmiewała urodę wszystkich białogłów żyjących wówczas na świecie. W wojnie, jaką sułtan toczył z Arabami, którzy tłumnie napadli na niego, wielką pomoc okazał mu król Algarbii<sup>150</sup>. Gdy ów w nagrodę za usługi swoje poprosił, aby sułtan dał mu Alatiel za żonę, Beminedab nie mógł mu tego odmówić. Wyprawił Alatiel do króla z odpowiednią świtą, z dam i mężów złożoną, z mnóstwem drogocennych sprzętów, na dobrze zbrojnym i we wszystko opatrzonym okręcie. Wprzód opiece boskiej ją polecił. Marynarze, widząc, że pogoda sprzyja, rozpięli żagle, opuścili port w Aleksandrii i przez kilka dni szczęśliwie płynęli. Minęli już Sardynię i sądzili się być bliskimi celu swej podróży, gdy nagle podniosły się gwałtowne i przeciwnie wiatry, które okrętem księżniczki tak miotać jęły<sup>151</sup>, że wszyscy nadzieję ratunku stracili. Mimo to majtkowie, jako ludzie dzielni, walczyli bez przerwy z burzliwymi żywioł<sup>152</sup>. Dwie doby wichry szalały, na trzecią noc rozpętała się okrutna burza. Załoga okrętu nie wiedziała, gdzie się teraz znajduje, i nie mogła tego określić ani przyrządami morskimi, ani wzrokiem. Niebo pokryło się czarnymi chmurami, niby mrokiem północnym. W pobliżu Majorki postrzegli, że okręt wody nabiera. Nie widząc już żadnego ratunku, każdy myślał tylko o sobie. Spuszczono na wodę łódź, mniemając, że większe ona bezpieczeństwo przedstawia niżli dziurawy okręt. Do łódki wsiedli dowódcy załogi. Ich śladem rzucili się hurmem i inni, a chociaż ci, co przedtem miejsca zajęli, starali się ich odegnąć nożami, przecież nikt na to nie zważał. Sądząc, że uchodzą przed śmiercią, ku niej właśnie śpieszyli. Łódź, nie mogąc wśród nawałnicy wytrzymać ciężaru tylu ludzi, poszła z wszystkimi na dno. Tymczasem okrętem dalej wichry miotały, choć był on ze wszech stron dziurawy i wody pełen. Na pokładzie znajdowała się tylko Alatiel z sługami swymi. Leżały one jak martwe, przejęte trwogą i od zmysłów odchodzące. Okręt rzucony został wreszcie przez bałwany na mieliznę przy brzegach Majorki. Zarył się w piasek z wściekłą siłą, na rzut ka-

<sup>144</sup>*sila* (daw.) — wiele, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>*szczególowie* — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>*jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*niestatek* — niestateczność, zmiennosc. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*Saraceni* — jedno z daw. plemion arabskich; w średniowieczu nazwa odnosiła się do wszystkich muzułmanów, a w szczególności do tych, którzy walczyli z chrześcijanami. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*Babilon* — największe miasto staroż. Mezopotamii; dzięki wzmiance o mieście pod panowaniem islamskim, możemy datować czas akcji na między VII. a X w. n.e. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*Algarbia* — dziś Algarvia, pld.-wsch. część Portugalii. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*jąc* (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*z burzliwymi żywioły* — dziś popr. forma N.Im: z burzliwymi żywiołami. [przypis edytorski]

mieniem od brzegu. Bałwany były ón przez noc całą, jednakż z miejsca go już ruszyć nie mogły. Gdy dzień jasny nastał i burza ucichła, ledwie żywa Alatiel podniosła głowę i jęła słabym głosem sługi przyzywać. Na próżno jednak wołała, bowiem zbyt daleko były. Nie otrzymując żadnego responsu<sup>153</sup> i nikogo nie widząc, z początku zadziwiła się, a potem okrutnie zestrzachała. Dźwignęła się ostatkiem sił i ujrzała, że wszystkie jej towarzyszki nieruchomie na pokładzie leżą. To jedną, to drugą wstrząsała, aliści<sup>154</sup> niewiele z nich się ocknęło; pozostałe umarły ze strachu lub też z okrutnych bólów żołądka. To jeszcze bardziej Alatiel zatrwożyło. Czując potrzebę rady, bowiem nie wiedziała całkiem, gdzie się znajduje, przez wszystkich opuszczona, jęła tak szarpać i wstrząsać pozostałe przy życiu służki swoje, że te wreszcie podniosły się na nogi. Alatiel usłyszała, że i one nie wiedzą, co się z mężczyznami stało, i ujrawszy, że okręt pełen wody wrył się w ławicę piasku, wraz z nimi gorzko płakać jęła. Była już dziewiąta godzina rano, jednakż na brzegu ani gdzie indziej nie pokazywał się nikt, w kim litość i chęć pomocy wzbudzić by mogły.

Około godziny dziesiątej przejeżdżał tamtędy trafunkiem<sup>155</sup>, wracając z swojej majętności, pewien młody szlachcic, Pericone da Visalgo, w otoczeniu konnych sług swoich. Ów, ujrawszy okręt, zaraz domyślił się, w czym rzecz, i kazał jednemu ze sług dostać się nań, a potem donieść, co się tam dzieje. Sługa z trudem przebrał się na okręt i znalazł na nim urodziwą dziewczeczkę kryjącą się bojaźliwie wraz z nielicznymi towarzyszkami u dzioba statku. Zaledwie wszedł na pokład, zaczęły go ze łzami o litość błagać, postrzegłszy jednak, że mowy ich nie pojmuje ani też one słów jego, starały się znakami wytłumaczyć mu nieszczęsne położenie swoje. Sługa, rozejrzawszy się dobrze we wszystkim, wrócił do Pericona z doniesieniem, co widział. Pericone rozkazał natychmiast sprowadzić na ląd niewiasty wraz ze wszystkim, co im jeszcze z drogocenniejszych rzeczy pozostało, i zabrał je z sobą do zamku. Tutaj białogłowy skrzepiły nieco swoje siły wczasem<sup>156</sup> i jadłem. Pericone poznał z wspaniałych szat Alatiel i z objawów czci, z jaką się inne do niej zwracały, że musi to być dziewczeczka znacznego rodu. Chocia Alatiel była blada i po przejściach na morzu wynędzniała, przecie rysy jej oblicza nad wszystko piękne mu się wydały. Postanowił tedy<sup>157</sup>, nie myśląc wiele, że ją w stadło pojmie, jeżeli jeszcze męża nie ma, jeśli zasię ożenić się z nią nie będzie mógł, to ją swoją miłośnicą uczyni. Pericone był człowiekiem wielkiej postury i śmiałego wejrzenia. Po kilku dniach, w ciągu których ugaszczal troskliwie Alatiel, odzyskała ona całą świeżość swoją, tak iż nad podziw piękną mu się zdała. Pericone rozpaczał jeno<sup>158</sup>, że się porozumieć z nią nie może, aby uznać, kim ona jest. Trawiony żądzą, spojrzzeniami, znakami i osobliwą grzecznością starał się ją przywieść do tego, aby była powolna jego zachceniom. Ale wszystko na próżno. Alatiel nieprzystępna po dawnemu była, przez co chucie Pericone jeszcze bardziej rozgorzały. Alatiel spostrzegła to. Po kilku dniach pobytu na zamku domyśliła się już, że znajduje się między chrześcijanami, sądziła zatem, że niebezpiecznie by było odkryć godność swoją bez względu na to, w jakim jest miejscu. Zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później będzie musiała ulec woli Pericona, który siłą albo miłością swego wreszcie dopnie. W wielkoduszności serca postanowiła walczyć przeciwko złym losom swoim. Towarzyszkom swoim, z których tylko trzy przy życiu pozostały, przykazała, aby nikomu nigdy nie wyjawiały, kim są, chyba że by znalazł się ktoś, od kogo nieoczekiwana pomoc przyjść by mogła. Zakłęła je, aby strzegły swego dziewictwa, przydając, że z jej wdzięków cieszyć się będzie jeno jej prawy małżonek. Towarzyszki pochwaliły jej cnotliwy zamiar i obiecały, że ze wszystkich sił starać się będą o wypełnienie jej rozkazów.

Pericone tym większą chucią z dnia na dzień gorzał, im bliżej widział przedmiot swoich pragnień, których nasycić nie mógł. Widząc, że zachody ani prośby nic nie wskórają, postanowił użyć chytrego podstępu, a gwałt na ostatek zachować.

Nieraz już spostrzegł, że Alatiel szczególnie smak znajdowała w winie, którego przedtem nigdy nie piła, bowiem religia tego jej zabraniała. Pericone postanowił użyć wina, najlepszego pomocnika bogini Wenus, aby owaładnąc wdziękami Alatiel. Udawszy, że nie-

<sup>153</sup> *respons* (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>154</sup> *aliści* (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>155</sup> *trafunkiem* — przypadkiem. [przypis edytorski]

<sup>156</sup> *wczas* (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>157</sup> *tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>158</sup> *jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

wiele sobie czyni z jej odmów, wydał z jakiejś okazji pewnego wieczora wspaniałą ucztę, w której Alatiel także udział wzięła. Uczta była wesoła i gwarna. Pericone przykazał temu, kto Alatiel usługiwał, aby podawał jej napój, utworzony z wielu gatunków wina. Sługa wywiązał się z swego zadania na schwał.

Alatiel, nic nie podejrzewając, zasmakowała w tym przyjemnym trunku i wypila więcej niż zwyczajnie.

Zapomniawszy o poprzednich swoich niedolach, stała się wesołą, a widząc, że niektóre dziewczęta tańczą taniec z Majorki, sama według aleksandryjskiego obyczaju pisać zaczęła. Pericone, ujrawszy to, nie wątpił już, że dochodzi do celu pragnień swoich. Przeciągając ucztę do późna w noc, kazał podawać wciąż nowe potrawy i napoje. Na koniec, skoro biesiadnicy się oddalili, sam odprowadził Alatiel do komnaty. Dzieweczka, bardziej rozgrzana niżli przystojnością na wodzy trzymana, zrzuciła bez żadnego wstydu w jego przytomności<sup>159</sup> szatki, tak jakby Pericone był jedną z jej służek, i położyła się do łóża. Pericone, nie mieszkając<sup>160</sup>, poszedł w jej ślady. Zgasiwszy światła leżał obok niej, obłapił ją ciasno i nie napotykając żadnego oporu ją<sup>161</sup> z nią igrać miłośnicie. Alatiel, poznawszy, jakim to rogiem mężczyźni bodą (o czym przedtem, jako żywo, nie wiedziała), nie mogła niemal odżalować, że już dawniej na prośby Pericona nie przystała. Nie czekając, aż ją na tak słodką ucztę zaproszą, sama się często zapraszała, nie słowami co prawda, gdyż nie mogła się nimi porozumieć, lecz znakami i gestami. Gdy Pericone i Alatiel w takich rozkoszach smakowali, fortuna nie będąc ukontentowana z tego, że z żony króla nalożnicę wasała uczyniła, sposobila jej inny, bardziej grozą przejmujący związek.

Pericone miał brata, dwudziestopięcioletniego młodzieńca, pięknego i świeżego jak róża. Zwał się on Marato. Alatiel niezwykle mu do gustu przypadła. Zdało mu się z jej znaków, że i ona również upodobanie do niego żywi. Myśląc, że od zaspokojenia jego chuci nic nie wstrzymuje Alatiel krom<sup>162</sup> czujności, jaką ją otaczał Pericone, uknuł występny plan, który zaraz do zbrodniczego przywiódł skutku.

W porcie miasta stał podówczas okręt napełniony towarami, które miał zabrać do Chiarenzy<sup>163</sup> w Romanii<sup>164</sup>. Właścicielami jego byli dwaj młodzi Genuńczycy. Żagle już podniesiono, oczekując pomyślnego wiatru. Marato ułożył się z Genuńczykami, że zabiorą go następnej nocy na pokład wraz z damą, którą z sobą przywiedzie.

Wszystko to uładziwszy, udał się, gdy noc zapadła, do domu Pericona, który z jego strony niczego nie podejrzewał. Wszedł niepostrzeżenie do komnat, pospołu z najbardziej zaufanymi towarzyszami, którzy mieli mu pomóc w tym przedsięwzięciu, i ukrył się zgodnie z planem poprzednio ustalonym. Gdy już większa część nocy minęła, otworzył swoim współcznikom, wiodąc ich, gdzie Pericone zwykle z swoją miłośnicą sypiał. Zbiry, wtargnąwszy do komnaty, zabili Pericona, we śnie spoczywającego, i pochwycili płaczącą białogłową, grożąc jej śmiercią, gdyby tumult podniosła. Później zabrali najcenniejsze rzeczy, które pod ręką znaleźli, nie zauważeni chyłkiem wypadli z domu i na morski brzeg się przebrali<sup>165</sup>. Marato nie mieszkając<sup>166</sup> wszedł z Alatiel na pokład, towarzysze jego zasię do miasta powrócili. Marynarze, mając wiatr pomyślny, wypłynęli na pełne morze. Alatiel żaliła się równie gorzko na wtóre swoje nieszczęście, jak ongiś na pierwsze, aliści<sup>167</sup> Marato tym wisiorkiem, co mu go Bóg dał, ją ją pocieszać tak żarliwie, że wkrótce o Pericone zapomniała i do nowego miłośnika przywykła.

Już miała się za zupełnie szczęśliwą, gdy los, uważając widać, że przeszłych doświadczeń było mało, nowe nieszczęście jej zgotował. Nieraz już mówiliśmy, że Alatiel była nad podziw piękną białogłową, a do tego wielce w obejściu miłą dworną. Dwaj młodzi Genuńczycy tak się w niej rozmiłowali, że o wszystkim zapominając, na usługach i za-

<sup>159</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>Chiarenza a. Glarentza — średniowieczne miasto w zach. części Peloponezu, założone w XIII w. przez krzyżowców, którzy zawładnęli Księstwem Achai; było prężnym ośrodkiem handlu, utrzymując ożywione kontakty z Wenecją, Genuą i in. miastami włoskimi. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>Romania — tu: wschodnie obszary cesarstwa. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>przebrać się — tu: przedostać się. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

lotach cały czas spędzali. Strzegli się jedynie, aby tych przymień Marato nie spostrzegł. Postrzegłszy nawzajem swoje upały miłosne i naradziwszy się potajemnie, postanowili, że razem przedmiotem miłości cieszyć się będą, tak jak gdyby miłość dzielona być mogła na podobieństwo łupu lub towaru. Ujrzeni jednak, że Marato czujnie Alatiel strzeże, przeszkadzając ich zamysłom. Pewnego dnia, gdy okręt mknął chyżo pod pełnymi żaglami, Marato stał na rufie i patrzył na morze, nic nie podejrzewając. Genuńczycy podkradli się do niego i schwyciwszy go silnie z tyłu, wrzucili do morza. Gdy okręt już się na miłą oddalił, spostrzeżono dopiero, że Marato wpadł do morza. Alatiel, usłyszawszy o tym i ujrawszy, że wszelki ratunek byłby daremny, jęła od nowa żale swoje rozwodzić. Dwaj Genuńczycy pocieszali ją, jak mogli, miłymi słówkami i obietnicami, chociaż Alatiel i niewiele z tego wszystkiego pojmowała. Oplakiwała nie tyle stratę Marato, ile nad swoją okrutną dolą rozpaczała. Po długich przełożeniach a prośbach zdało się im, że ją wreszcie pocieszyli. Udali się zatem na stronę, aby naradzić się, kto z nich ma ją pierwszy posiadać. Każdy chciał zaraz tych słodczy zaznać, tak iż mowy o zgodzie być nie mogło. Od grubych słów i wymysłów przyszło do bójki. Schwycili za noże i mnóstwo ciosów sobie zadali, bowiem ci, co na okręcie się znajdowali, rozdzielić ich nie mogli. Jeden z walczących padł wkrótce martwy, drugi, ciężkimi ranami pokryty, przy życiu pozostał. Alatiel wielce się tym zasmuciła. Czuli się samotna, pozbawiona pomocy i rady, a do tego obawiała się, aby się na nią nie obrócił gniew krewniaków i przyjaciół obu Genuńczyków.

Aliści prośby rannego, jak i szybkie przybycie okrętu do Chiarenzy wybawiły ją z śmiertelnych niebezpieczeństw. Wyszła na ląd pospołu z rannym i zamieszkała z nim w jednej gospodzie. Wkrótce wieść o piękności Alatiel rozeszła się po całym mieście. Słuchy o niej doszły do księcia Morei, który podówczas w Chiarenzy bawił. Książę zapragnął ją widzieć. Alatiel zdała mu się piękniejsza nad wszelkie opowiadania. Rozkochał się w niej od razu tak gwałtownie, że o niczym innym myśleć nie mógł. Usłyszawszy zasię<sup>168</sup>, jakim sposobem tu przybyła, powziął nadzieję pozyskania jej łask. Gdy nad stosownymi środkami rozmyślał, krewniacy rannego, o pragnieniach księcia uwiadomieni, niewiele myśląc, posłali mu czym prędzej Alatiel. To nappełniło wielką radością księcia, a także i Alatiel, która mniemała, że już jest bezpieczna od wszelkich niebezpieczeństw. Chocia książę nie wiedział, kto ona zacz, przecie obyczaj jej szlachetne, a także niepospolita piękność wnosić mu kazały, że ze znamienitego rodu pochodzić musi; zdwoiło to miłość jego. Cześć należną jej okazując, obchodził się z nią jak z małżonką, nie jak z nałożnicą. Alatiel, zapomniawszy w obecnej pomyślności o wszystkim, co było, powróciła do przyrodzonej sobie wesołości, a wdzięki jej tak odkwitły, że w całej Romanii mówiono jeno<sup>169</sup> o jej piękności. Dlatego też młody, urodziwy i dzielny książę ateński, przyjaciel i krewniak księcia Morei, wyraził życzenie obaczenia Alatiel. Pod pokrywką, że chce odwiedzić księcia, jak to nieraz czynić miał w obyczaju, z świetnym pocztem do Chiarenzy zawitał, gdzie godnie i uroczyście go przyjęto. Po kilku dniach rozmawiać zaczęli o piękności Alatiel. Książę spytał, zali naprawdę jest tak urodziwa, jak o tym powszechna fama głosi.

— Jeszcze urodziwsza — odparł książę Morei — i pragnę, abys na własne oczy o tym się przekonał.

Książę ateński ochotnie przystał na to i obaj książęta udali się do komnat Alatiel. Ta, uprzedzona o ich odwiedzinach, przyjęła gości uprzejmie, z wesołym obliczem. Posadzili ją między sobą, ale nie mogli zażyć przyjemności z rozmowy z nią, bowiem niewiele, a raczej nic wcale z mowy ich nie pojmowała. Dlatego też każdy spoglądał na nią jak na dziw albo i cud jakowyś, osobliwie zaś książę ateński, ledwo zdolny pojąć, że jest ona istotą śmiertelną. Nie spostrzegł, że gdy patrzył na nią, oczy jego upiły się jadem namiętności. Myślał, że zachwycając się nią — sobie ukontentowanie sprawia, tymczasem zaplątał się w sidła i najżywszą miłością do Alatiel rozgorzał. Opuściwszy zasię pospołu z księciem Alatiel i znalazłszy stosowną do rozmyślań chwilę, do tej myśli przyszedł, że książę jest najszczęśliwszym na ziemi człowiekiem, mogąc w takim skarbie smakować do upodobania. Tysiąc myśli w nim się ścierało, wreszcie gdy szal miłosny uczciwość przemógł, postanowił wydrzeć ten klejnot księciu Morei i sam nim o władnąć, choćby i do

<sup>168</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

najgorszych rzeczy przy tym przyjść miało. Pobudzany pragnieniem, nie dbając na głos rozsądku i sprawiedliwości, zamysł swój na zdradzie i podstępnie osnuł. Pewnego dnia, skumawszy się z zaufanym sługą księcia Morei, zwanym Ciuriaci, kazał cichaczem przygotować do podróży swoje konie oraz wszystko, co mu w drodze przydatne być mogło. Gdy noc nastała, książę ateński wraz z swym towarzyszem weszli, uzbrojeni, cichaczem do komnaty księcia, dokąd ich wpuścił ów rzeczony Ciuriaci.

Napastnicy ujrzeli, że książę z powodu upału stoi całkiem nagi przy oknie, obrócony twarzą ku morzu, i ochładza się lekkim wietrzykiem. Alatiel spała mocnym snem. Towarzysz księcia ateńskiego, uwiadomiony wcześniej, co mu czynić należy, podkraść się do okna na palcach i uderzył księcia tak silnie nożem między żebra, iż ostrze na wylot przeszło. Potem szybko pochwycił ciało, wyrzucił je przez okno. Zamek księcia stał wysoko nad powierzchnią morza; z okna zaś tego widać było tylko kilka lepianek, zburzonych w części przyplływem fal; nikt tu prawie nigdy nie zachodził, dlatego też, jak to przewidział książę ateński, nikt nie mógł zauważyć upadku ciała. Towarzysz księcia, obaczywszy, że zadanie uskutecznione zostało, schwycił co prędzej za sznur, przygotowany uprzednio, i pod pozorem żartu zarzucił stryczek na szyję Ciuriaciego. Później zacisnął węzeł tak silnie, że sługa nawet zipnąć nie zdołał. Ateńczyk pośpieszył na pomoc swemu towarzyszowi. Dodusiwszy Ciuriaciego, ciało jego także do morza wrzucili.

Spełniwszy to i upewniwszy się, że ani dama, ani nikt inny nic nie zauważył, książę ateński ze świecą w ręku cicho podszedł do łóżnicy i odkrył całkiem wciąż jeszcze śpiącą głęboko Alatiel. Obejrzawszy ją szczegółowie<sup>170</sup>, słów zachwyty i podziwu nie znajdował. Jeśli podobała mu się w ubraniu, to naga nad wszelki wyraz go zachwycała. Na ten widok, nowymi żądzami zapalony i nie powstrzymywany wspomnieniem dokonanej przed chwilą zbrodni, ze skrwawionymi rękami legł obok niej. Pólsenna Alatiel, myśląc, że to książę Morei, pieszczot mu swoich nie szczędziła.

Siła rozkoszy zażywszy, powstał i przywoławszy kilku z swoich ludzi kazał porwać Alatiel tak, aby najmniejszego tumultu słychać nie było, i wyprowadzić ją tajnymi drzwiami, przez które wszedł do zamku. Jak najciszej usadzili Alatiel na konia i popędzili drogą do Aten. Ponieważ jednak książę był żonaty, więc nie wprowadził okrutnie zasmuconej Alatiel do miasta, jeno<sup>171</sup> umieścił ją w jednej z swoich nadmorskich posiadłości, w pobliżu Aten leżącej. Trzymał ją tam w tajności, przykazawszy, aby na niczym jej nie zbywało.

Następnego dnia dworzanie księcia Morei aż do dziewiątej czekali na jego obudzenie się, jednakże, najmniejszego szmeru nie słysząc, pchnęli drzwi komnaty, które jeno przymknięte były, i do środka weszli. Nie znalazłszy nikogo pomyśleli, że książę wyruszył gdzieś w tajemnicy wraz z swą damą, aby dni kilka na swobodzie i w radości spędzić; uspokoił się przeto i już się nie turbowali. Następnego dnia jednak zdarzyło się, że pewien człek na umyśle pomieszany wszedł między rudery, gdzie leżały ciała księcia Morei i Ciuriaciego, wyciągnął zwłoki sługi i jął<sup>172</sup> je na stryczku wlec za sobą. Z wielkim zdziwieniem wiele osób rozpoznało trupa, a wówczas przymilaniem się skłoniono głuptaka, by wskazał miejsce, skąd zwłoki wydobyl. Tam, ku boleści całego miasta, także i trupa księcia znaleziono. Pochowali go z należnymi honorami i jęli szukać winowajców tak zbrodniczego czynu. Spozstrzegłszy nieobecność księcia ateńskiego, który w wielkiej tajności z miasta wyjechał, domyślili się, że on to zbrodnię tę popełnił i damę uprowadził. Szybko tedy<sup>173</sup> obwołali księciem brata zabitego i wezwali go najżywiej do pomsty. Ten, ugruntowawszy się w swoich podejrzeniach, dzięki różnym innym jeszcze dowodom co do winy ateńskiego księcia, wezwał swoich krewniaków, przyjaciół i poddanych, zgromadził silną armię i do wojny z ateńczykiem jął się gotować. Usłyszawszy o tym, książę ateński zebrał wszystkie siły swoje, aby wrogom dać odpór stosowny. Wielu znacznych władców przybyło na pomoc k'niemu<sup>174</sup>. Cesarz Konstantynopola posłał mu swego syna Konstantyna oraz siostrzeńca Emanuela ze znacznym wojskiem. Z należną czcią przyjął ich książę, a zwłaszcza księżna, która siostrą Konstantyna była.

<sup>170</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>k'niemu (daw.) — do niego. [przypis edytorski]



Gdy tak wszyscy z dnia na dzień najścia nieprzyjaciół się spodziewali, księżna, stosowną chwilę ułowiwszy, przywołała obu braci i ze łzami w oczach wyjaśniła im przyczynę wojny i całą historię szczegółowo opowiedziała przedstawiając zniewagę, jaką jej małżonek wyrządza przez związek miłosny z cudzoziemką, o czym jakoby nikt nie wie. Żaląc się wielce na to, prosiła ich, aby cześć księcia i jej pocieszenie na pieczy mieli, czyniąc, co wyda im się najbardziej stosowne. Młodzieńcy wiedzieli już o wszystkich tych zdarzeniach, dlatego też nie pytając wiele, pocieszyli, jak mogli, księżnę, napełnili jej serce nadzieją i odjechali dowiedziawszy się wprzód, gdzie Alatiel się znajduje.

Nieraz już dochodziły ich słuchy o zadziwiającej piękności Saracenki, zapragnęli tedy ją zobaczyć i poprosili księcia, aby im ją ukazał. Ów zapomniawszy, czym księżę Morei za spełnienie podobnej prośby zapłacił, obiecał, że to uczyni. W samej rzeczy wydał wspaniałą ucztę w pięknym ogrodzie, znajdującym się koło domu, w którym Alatiel przebywała, i obu młodzieńców w nielicznej kompanii na nią zaprosił. Konstancyń, siedząc za stołem obok Alatiel, utkwiał w niej wzrok zachwycony i pomyślał, że podobnej piękności jeszcze nigdy na świecie nie widział. Jego zdaniem, należało rozgrzeszyć księcia, jak i każdego, kto by dla owładnięcia podobnym skarbem zdradę albo i inny plugawy czyn popełnił. Brnąc dalej, raz po raz na nią poglądał i podobał sobie w niej coraz bardziej, doświadczając tego, co i księżę. Odjechał rozmiłowany w Alatiel i wszelką myśl o wojnie ostawiwszy, jał<sup>175</sup> się głowić tylko nad tym, jak by ją odjąć księciu; miał się jednak na baczności i niczym swojej namiętności nie zdradzał. Gdy tak chuciami gorzał, nadeszła pora wyruszenia w pole przeciwko wojskom nieprzyjacielskim, które już do dzierżaw księcia się zbliżały. Księżę bowiem, Konstancyń i pozostali, zgodnie z rozkazem, opuścili Ateny, aby umocnić granice i nie dopuścić, by wraża<sup>176</sup> armia w nie wtargnąć miała.

Stojąc przez kilka dni na granicy, Konstancyń ani przez chwilę o damie swej myśleć nie przestał. W przekonaniu, że teraz, gdy księżę od niej się oddalił, łatwiej mu będzie zamiary swoje do skutku przywieść, postanowił do Aten powrócić pod pokrywką, że nie domaga na zdrowiu. Poruczywszy, za zgodą księcia, władzę nad wojskiem Emanuelowi, powrócił do Aten, do swej siostry. Po kilku dniach wszczął rozmowę o zniewadze, jaką jej mąż uczynił, inną mając przy sobie niewiastę, i oznajmił, że jeśli tylko zechce, on nieszczęściom jej kres postawi, wykradając Alatiel i uprowadzając ją za granice państwa. Księżna, myśląc, że Konstancyń chce to uczynić przez miłość do niej, a nie do Alatiel, odparła, że zgadza się na to ochotnie, pod tą jednak kondycją, aby księżę nigdy o jej zgodzie nie uznał. Konstancyń przyrzekł jej to. Wówczas księżna rzekła, aby poczynił sobie tak, jak uważa, że będzie najlepiej. Konstancyń kazał cichaczem przysposobić lekką barkę i pewnego wieczoru podpłynął na niej pod ogród będący schronieniem Alatiel. Uświadomiwszy pozostałych na brzegu ludzi, co im działać należy, sam z kilku towarzyszami udał się do pałacu. Służba Alatiel, jako też i ona sama uprzejmie go powitała. Alatiel z Konstancyńem w otoczeniu jej sług i jego towarzyszy wyszli do ogrodu. Tam, chcąc jakoby pomówić z damą w imieniu księcia, odwiódł ją na stronę i zaprowadził do bramy wychodzącej na morze. Jeden z jego towarzyszy już ją był otworzył; na dany znak barka się przybliżyła.

Wówczas pochwycili Alatiel i do barki ją zanieśli. Konstancyń rzekł do jej sług:

— Niech nikt się nie waży ruszyć z miejsca lub parę z gęby puścić, jeśli wam życie miłe. Nie chcę porywać kochanki księciu, jeno<sup>177</sup> uwolnić od hańby siostrę moją.

Nikt nie śmiał odpowiedzieć na to. Konstancyń z swymi towarzyszami wsiadł do barki i nie opuszczając ani na chwilę płaczącej Alatiel, kazał tęgo wiosłami robić. Barka zdawała się nie płynąć, ale lecieć, i następnego dnia o świcie przybyła do Eginy<sup>178</sup>. Wyszędłszy na ląd odpoczęli, a Konstancyń nacieszył się swą branką, która piękność swoją nieszczęsną gorzko oplakiwała. Później wsiadli z powrotem do barek i po upływie dni kilku przybyli do Chios. Obawiając się gniewu cesarza i utracenia Alatiel, Konstancyń tutaj, jako w miejscu bezpiecznym, zatrzymać się postanowił. Długo płakała Saracenka nad swą nieszczęsną

<sup>175</sup>jał (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>wraży — obcy. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>Egina — gr. wyspa na Morzu Egejskim, w Zatoce Sarońskiej. [przypis edytorski]

dołą, aliści<sup>179</sup> gdy Konstantyn pocieszył ją niezawodnym sposobem, jęła znów znajdować upodobanie w tym, co los jej zesłał.

Gdy rzeczy tym trybem szły, Osbech, podówczas królem Turków będący i w ciągłej wojnie pozostający z cesarzem, przyjechał trafunkiem do Smyrny<sup>180</sup>. Usłyszawszy, że Konstantyn wiedzie rozpustne życie z białogłową przez się pochwyconą i że przebywa w Chios bez żadnej ochrony, uzbroił kilka lekkich galer i zawinął nocą do portu. Wyszedszy cicho z wojskiem na brzeg, wielu nieprzyjaciół w pościeli zdybał, jeszcze nim się spostrzegli, że wróg wdarł się do miasta, ci zasię<sup>181</sup>, nieliczni, co pobudzeni za broń schwycili, zaraz gardła dali. Osbech spalił całe miasto, naładował łupem okręty i z jeńcami do Smyrny powrócił.

Tam pośród niewolników spostrzegł urodziwą wielce białogłową. Uznawszy, że ją to właśnie wzięto, gdy spała z Konstantynem w jednym łożu, jako mąż młody wielce się uradował i bez zwłoki żoną ją swoją uczynił, ceremonię ślubu w łożnicy odprawiając. Później przez kilka miesięcy gorliwie jej wdzięków używał.

Nim te rzeczy się trafiły, cesarz sprzymierzył się z Basanem, królem Kapadocji, który miał z częścią swych wojsk na Osbecha uderzyć, podczas gdy on sam, cesarz, z drugiej strony na niego napadnie. Jednakże zamysły te na niczym spełzły dla niedogodnych warunków przymierza, jakie mu Basan stawiał, a których cesarz przyjąć nie chciał. Gdy jednakże usłyszał, co się z jego synem stało, wpadł w taką turbację, że na wszystkie żądania króla Kapadocji bez zwłoki przystał, prosząc go jeno<sup>182</sup>, aby nieodwłocznie na Osbecha ruszył, sam zaś gotował się z tyłu na niego uderzyć. Osbech, o niebezpieczeństwie uwiadomiony, ściągnął wszystkie swoje wojska, zanim dwaj potężni sprzymierzeńcy mogli ująć go w kleszcze, i pośpieszył na spotkanie króla Kapadocji. Alatiel ostała w Smyrnie pod opieką a poruczeństwem wiernego sługi i przyjaciela. Osbech wnet zetknął się i starł z Basanem, kładąc głowę w bitwie. Wojsko jego zwyciężone i rozproszone zostało.

Zwycięski Basan, żadnego oporu nie spotykając, szedł na Smyrnę. Wszyscy go z wielką pokorą przyjmowali. Sługa Osbecha, Antiochem zwany, chociaż był człekiem szedziwym, przecie nie obronił się przed pięknnością Alatiel, którą miał pod strażą. Rozmiłował się w niej, nie zdzierżywszy przysięgi na wierność swemu panu. Antioch znał język, jakim Alatiel mówiła. Wielce był rad z tego, a i ona nie mniej, bowiem już od lat kilku skazana była na życie głuchej i niemowy; ani ona nikogo nie pojmowała, ani jej nikt nie rozumiał. Antioch, chuciami swymi pobudzany, ją<sup>183</sup> poczynać sobie z Alatiel wielce poufale, a po kilku dniach, nie bacząc na swego pana, który wojnę toczył, wstąpił z nią nie tylko w przyjacielskie, ale i w miłosne związki. Sypiali pospołu pod jednym nakryciem i baraszkowali do woli. Usłyszawszy, że Osbech porażony i zabity i że Basan następuje, wszystko w perzynę obracając, postanowili nie czekać na niego. Zabrali z sobą drogocenne rzeczy, które Osbech zostawił, i umknęli chyłkiem na wyspę Rodos<sup>184</sup>. Tam jednakże niedługo żyli. Antioch zaniemógł i czuł się bliskim śmierci. W tym czasie przybył do Rodos pewien kupiec cypryjski, wielki przyjaciel Antiocha. Ten, widząc, że koniec jego już bliski, zapragnął pozostawić mu w dziedzictwie swoją majątność i umiłowaną białogłową. Odchodząc ku wieczności, przywołał ich oboje i rzekł:

— Wiem, że nadchodzi moja ostatnia godzina. Ciężko mi umierać, bowiem nigdy mi życie miłsze nie było jak teraz. Umieram jednak pełen pociechy, chociaż się bowiem z życiem rozstać muszę, konam na rękach tych ludzi, których najbardziej na świecie miłowałem, to jest na rękach twoich, miły przyjacielu, i na rękach tej białogłowy, co mi bliższa była niż życie własne, odkąd ją poznałem. Ciężko mi myśleć, że ostanie ona tutaj, na obczyźnie, sama bez pomocy i rady, aliści<sup>185</sup> wierzę, że opieką ją swoją otoczysz dla tej miłości, jaką dla mnie żywiłeś. Dlatego też zaklinam cię, abyś, skoro mi już umrzeć sądzono, wszedł w posiadanie majątności moich i aby Alatiel przy tobie pozostała. Postę-

<sup>179</sup> aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>180</sup> Smyrna — duże miasto portowe w wsch. wybrzeży Morza Egejskiego; dziś: Izmir w zach. Turcji nad Zatoką Izmirską. [przypis edytorski]

<sup>181</sup> zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>182</sup> jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>183</sup> jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>184</sup> Rodos — wyspa na Morzu Egejskim, położona na granicy dwóch kontynentów: Europy i Azji, największa w archipelagu Dodekanazu (Sporadów Południowych). [przypis edytorski]

<sup>185</sup> aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

później z nimi tak, jak to, zdaniem twoim, będzie trza dla spokojności duszy mojej. Ciebie zaś, najmilsza Alatiel, proszę, abys mnie nie zapomniała po śmierci. Niechże i tam będę się mógł pochwalić, że miłuje mnie na ziemi najpiękniejsza białogłowa, jaką kiedykolwiek natura stworzyła. Jeśli mi twardo przyrzekniecie, że obie te prośby wypełnicie, zamknę oczy pełen pociechy.

Kupiec i Alatiel, słysząc te słowa, płakali gorzko. Później pocieszali go, jak mogli, i przysięgali uroczyście, że na wypadek jego śmierci postąpią zgodnie z jego wolą. Antioch umarł wkrótce i z należną czcią został przez nich pogrzebany.

Po upływie kilku dni kupiec cypryjski, załatwiwszy swoje sprawy na wyspie Rodos, zapragnął powrócić do domu na stojącym w porcie małym katalońskim korabiu. Obrócił się zatem do pięknej damy z zapytaniem, co czynić zamierza, gdyż on musi na Cypr powrócić. Alatiel odparła, że pojedzie z nim ochotnie, bowiem ma nadzieję, że przez miłość do Antiocha będzie ją uważał za siostrę i jak z siostrą z nią postępował.

Kupiec odparł, że każde jej życzenie wypełni. Chcąc zaś ochronić ją od jakiej bądź zniewagi lub krzywdy, która by ją w czasie podróży spotkać mogła, powiedział wszystkim na okręcie, że jest jego żoną. Dano im małą kajutę na tyle okrętu. Nie chcąc, aby słowa czynom się sprzeciwiały, kupiec spał z Alatiel w maleńkim łożu. Z tego poszło — choć żadne z nich nie miało takich myśli przy opuszczaniu Rodos — że pobudzeni ciepłem łoża, zachęceni mrokiem i samotnością (a są to niemałe podniety), zapomniawszy o przyjaźni i miłości do zmarłego Antiocha, równą niemal po temu odczuwając ochotę, jęli się nawzajem trykać, nim jeszcze przybyli do Baffy, skąd Cypryjczyk był rodem. W Baffie Alatiel przez długi czas z kupcem żyła. Pewnego dnia przybył do Baffy za swymi sprawami pewien szlachcic, imieniem Antygon. Lat miał wiele, rozumu dużo, jeno<sup>186</sup> dostatków mało. Fortuna przeciwna mu była we wszystkim, w czym brał udział, ostając na służbie u cypryjskiego króla. Antygon, przechodząc pewnego razu koło domu, w którym Alatiel mieszkała (kupca cypryjskiego podówczas w mieście nie było, udał się bowiem z towarami do Armenii), ujrzał ją w oknie i jął przyglądać się jej uporczywie, bowiem uderzyła go jej piękność, a nie mógł przypomnieć sobie, gdzie ją już był widział. Urodziwa białogłowa, przez tak długi czas igraszką losów będąca, a teraz zbliżająca się już do nieszczęść swoich kresu, ujrawszy Antygona, poznała w nim od razu jednego ze znaczniejszych sług swego ojca w Aleksandrii. Dlatego też nagle nadzieję powzięła, że przy pomocy tego czelka do utraconej swej królewskiej godności powrócić może. Wiedząc, że kupca w domu nie ma, kazała bez zwłoki przywołać Antygona. Gdy wszedł do komnaty, zapytała nieśmiało, zali nie jest Antygonem z Famagosty, jak się to jej zdawa? Odpowiedział, że tak, i przydał:

— Pewien jestem, pani, że was już nieraz widziałem, nie mogę jeno przypomnieć sobie, gdzie to było. Proszę was przeto, jeśli wam to przykrości nie sprawi, abyście raczyli mi odkryć, kim jesteście.

Alatiel, usłyszawszy, że przybysz jest Antygonem, rzuciła mu się z płaczem na szyję i spytała go, zadziwionego mocno, zali jej przypadkiem w Aleksandrii nie widział? Na te słowa Antygon zaraz poznał w niej Alatiel, córkę sułtana, o której mniemano, że w morzu zginęła. Pragnął jej należną cześć oddać, ale Alatiel nie dopuściła do tego, prosząc go, aby na chwilę usiadł obok niej. Uczyniwszy zadość jej żądaniu, Antygon spytał ją z czcią w głosie, jak, kiedy, skąd do tego miejsca przybyła? Wszak w całym Egipcie za pewne to trzymają, że przed wielu już laty w morzu śmierć znalazła.

— Wolałabym, wierę<sup>187</sup>, żeby się tak stało — odparła Alatiel — nie potrzebowałabym bowiem wieść takiego życia, jakie wiodłam. I sądzę, że ojciec mój wolałby to również, o ile kiedykolwiek dowie się prawdy.

Rzekłszy to, znów gorzko płakać poczęła. Antygon rzekł:

— Nie dręczcie się i nie smućcie przed czasem, pani! Raczcie lepiej mi opowiedzieć wasze nieszczęścia i całe życie wasze. Ani chybi, przy pomocy bożej rzeczy pójdą tym trybem, że na wszystko zaradzenie skuteczne znajdziemy.

— Gdy ujrzałam ciebie, Antygonie — rzekła Alatiel — zdało mi się, że widzę mego ojca. Pod wpływem tego tkliwego uczucia, jakie do niego żywię, odsłoniłam ci się, chociaż

<sup>186</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

mogłam się przecie ukryć przed tobą. Niewielu jest na świecie ludzi, co by mnie równie mili byli jak ty. Dlatego też, jak ojcu, wyznam ci to, co pośród największych nieszczęść moich zawsze tailam przed światem. Jeżeli po wysłuchaniu mojej spowiedzi uznasz za stosowne dopomóc mi jakimkolwiek sposobem do odzyskania dawnych godności, proszę, uczynź to. Jeżeli jednak rzecz ta niemożliwa ci się wyda, zaklinam cię, abyś nikomu na świecie nie mówił, żeś mnie widział albo słyszał o mnie cokolwiek.

Rzekłszy to, opowiedziała mu z płaczem wszystkie przypadki swoje, od rozbicia się okrętu przy brzegach Majorki, aż do chwili ich spotkania. Antygon, tknięty współczuciem, zapłakał z nią razem, a po chwili namysłu rzekł w te słowa:

— Ponieważ pośród tych wszystkich przeciwności nikt nie znał prawdziwego waszego nazwiska, pani, przyrzekam wam więc, że powrócę was ojcu, jeszcze miłszą niż kiedykolwiek, a potem i żoną króla Algarbii uczynię.

Gdy Alatiel spytała, jak tego dokona, Antygon uwiadomił ją szczegółowie<sup>188</sup>, co zrobić należy. Aby zasię<sup>189</sup> z powodu zwłoki jakiegoś zawikłania nie wynikły, powrócił nie mieszkając<sup>190</sup> do Famagosty i stanąwszy przed królem rzekł:

— Możecie, jeżeli taka będzie wasza wola, panie, spełnić czyn wielce chlubny dla siebie, mnie zaś, co będę w służbie waszej znoszę, bez nijakiej trudności korzyść wielką wyświadczyć.

— Jakim sposobem? — zapytał król.

— Do Baffy przybyła młoda i urodziwa córka sultana, o której słuchy chodziły, że zginęła w morzu. Dla zachowania czci swojej wielu nieszczęściom podlegała, a dzisiaj w wielkim niedostatku się znajduje. Pragnęłaby ona gorąco powrócić do ojca swego. Jeżeli przystaniecie na to, aby pod moją opieką do ojca ją wyprawić, pewien jestem, że sultan nigdy wam podobnej usługi nie zapomni, co wam cześć wielką, a mnie korzyść znaczną przyniesie.

Król, chcąc pokazać swoją naturę szlachetną, odparł, że przyzwala. Wyprawił godnie po Alatiel posłów i na dwór w Famagosta ją sprowadził, gdzie pospołu z królową pełne wspaniałości przyjęcie jej zgotował. Gdy się jej pytano o jej zdarzenia, odpowiadała wedle wskazówek przez Antygona danych.

Po kilku dniach na jej życzenie król wysłał ją do ojca ze znaczną świtą, z męczyzn i z białogłównymi, której Antygon przewodził.

Nie lza<sup>191</sup> wysławić, z jaką radością sultan ją powitał i jakie przyjęcie zgotował Antygonowi oraz jego towarzyszą. Gdy Alatiel już nieco wczasu<sup>192</sup> zażyła, sultan także zapragnął uznać, jak to się stało, że ocalała i że przez tak długi czas nie dała najmniejszego uwiadomienia o sobie. Alatiel, mając dobrze w pamięci pouczenia Antygona, zaczęła w te słowa:

— Dowiedz się, mój ojczu, że mniej więcej w dwadzieścia dni po moim stąd odjeździe burza strzaskała nasz okręt i wyrzuciła go nocą na brzeg zachodni w pobliżu Aiguesmortes. Co się stało z ludźmi załogi znajdującymi się na pokładzie, nie wiem, przypominam sobie tylko, że za nadejściem dnia powróciłam do utraconych zmysłów. Tymczasem mieszkańcy okoliczni okręt rozbity spostrzegli. Zbiegli się ławą dla złupienia szczątków. Wyciągnęli mnie na brzeg pospołu z dwiema towarzyszkami. Biedne dziewice porwane zostały przez dwóch młodzieńców i uprowadzone, każda w inną stronę. Nie wiem, co się z nimi stało, bowiem nigdy już słuch o nich do mnie nie dotarł. I mnie także dwóch młodzieńców za włosy schwyciło; płakałam i broniłam się ze wszystkich sił. Zaciągnęli mnie do pobliskiego lasu. Nagle z lasu wynurzyło się czterech jeźdźców. Gdy prześladowcy moi ich ujrzeli, natychmiast puścili mnie, a sami rzucili się do ucieczki. Czterej konni, którzy ludźmi znacznymi mi się wydali, przybliżyli się do mnie i jęli mi mnóstwo pytań zadawać. Ja także wiele mówiłam, ale nie mogliśmy się pojąć nawzajem. Naradziwszy się z sobą, posadzili mnie na rumaka, i zawieźli do klasztoru mniszek wedle ich religii. Nie wiem, co przeorzyzy powiedzieli, dość, że przyjęta zostałam nader uprzejmie. Uwielbiałam pospołu z nimi św. Stoislawa w Wąwozie, do którego szczególne nabożeństwo

<sup>188</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>nie lza — nie można; tu: nie sposób. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>wczas (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

żywią niewiasty tego kraju. Gdy już pewien czas z nimi pozostawałam i nauczyłam się trochę ich mowy, spytały mnie, kim jestem i skąd pochodzę. Wiedząc, gdzie się znajduję, i obawiając się, że gdy poznają prawdę, przegnać mnie mogą, jako że do ich religii nie należę, odparłam, że jestem córką pewnego znacznego człeka z Cypru, który mnie wysłał do przyszłego małżonka na Kretę. Na nieszczęście okręt tutaj uległ rozbiciu. Nie raz i nie dwa przy różnych okolicznościach ze strachu obyczajów ich przestrzegałam. Zapytana przez najstarszą z tych niewiast, którą nazywają przeoryszą, załobym na Cypr powrócić nie chciała, odparłam, że niczego tak nie pragnę, jak tego powrotu. Przeorysza, dbając o moją przystojność białogłowską, nie chciała mnie powierzyć nikomu z tych, co na Cypr jechali. Przed dwoma miesiącami dopiero przybyło do klasztoru kilku szlachciców Francji wraz ze swymi żonami. Jedna z nich była krewniaczką przeoryszy. Ta, usłyszawszy, że udają się do Jerozolimy, aby odwiedzić grób tego, kogo Bogiem swym zowią (zabit od Żydów, jest on tam pono pogrzebiony), poleciła mnie im, prosząc, aby mnie na Cypr do ojca odwieźli. Musiałabym długo w słowach się szerzyć<sup>193</sup>, chcąc opowiedzieć, jakimi staraniami i względami panowie ci i ich żony w czasie podróży mnie otaczali.

Wsiadliśmy na okręt i po kilku dniach przyплыliśmy do Baffy. Zatrudniło mnie to niemało, bowiem nie znałam nikogo w tym mieście i nie wiedziałam, co mam powiedzieć moim przewodnikom, którzy pragnęli mnie ojcu powrócić, jak im to poleciła czcigodna matrona. Bóg jednak, widać, ulitował się nade mną i w chwili gdyśmy do portu zawijały, posłał na brzeg Antygona. Poznałam go natychmiast i przyzwałam go, obracając się doń w naszym języku, ażeby nikt mnie zrozumieć nie mógł, i prosząc go, aby mnie tu jako córkę powitał. Pojął zaraz, w czym rzecz, wielce się z mego przybycia uradował, przyjął Francuzów, jak mu tylko na to jego skromne środki pozwalały, a później zawiódł mnie na dwór króla Cypru. Ów przyjął mnie, a potem i do was wyprawił z taką okazałością, że tego i wysłowić nie można.

Jeśli coś jeszcze przydać trzeba, to niech dalej opowiada Antygon, który o mej historii nieraz słyszał.

— Panie mój — rzekł Antygon, obracając się do sułtana — to, coście słyszeli od księżniczki, zgadza się na wszem z jej dawniejszymi opowieściami, jako też ze słowami szlachciców i ich żon, co ją przywieźli na Cypr. O jednym tylko omieszkała wam powiedzieć, bowiem skromność przyrodzona zmilczeć jej kazała, a mianowicie o pochwałach, jakie z ust tych chrześcijan słyszałem, jej niepokalanego życia w klasztorze, szlachetnych i wzniosłych uczuć i przykładowych obyczajów. Nie uważała także za stosowne wspomnieć wam o żalu i łzach, jakie przewodnicy jej wylewali przy pożegnaniu. Gdybym chciał powtórzyć wszystko, co mówili, nie starczyłoby dzisiejszej nocy i dnia jutrzejszego. Poprzestaną jeno<sup>194</sup> na uwiadomieniu was, że pysznić się możecie z posiadania najzacniejszej i najcnotliwszej córki, jaką kiedykolwiek miał na ziemi władca, koronę na skroniach noszący (tak panowie francuscy powiadali i tak ja sam pomiarkowałem).

Sułtan, niezwykle uszczęśliwiony, wspaniałą ucztę wyprawił. Prosił także wielokrotnie Boga, aby dał mu możliwość odwdziczenia się kiedykolwiek za usługi jego córce okazane. Obligowany był zwłaszcza królowi Cypru, który z wielką okazałością córkę mu odesłał. Po kilku dniach wyprawił Antygona z drogocennymi darami na Cypr. Wysłał też umyślnych z listami, w których osobną wdzięczność swoją mu wyrażał.

Następnie, pragnąc dokończyć tego, co rozpoczęte zostało, to jest połączyć córkę swoją z królem Algarbii, wyjaśnił mu wszystko i w liście napomknął, że jeśliby ją chciał za żonę, to niechaj po nią przyśle.

Król wielce się z tego uradował, wyprawił po narzeczoną świetne poselstwo, a później wspaniale Alatiel na swym dworze przyjął.

Alatiel, która z ośmiu mężami może dziesięć tysięcy razy miłośnie figlowała, w łożnicę mężowską jako rzekoma dziewica wstąpiła i sprawiła, że król w to uwierzył. Żyła przy jego boku długo i szczęśliwie jako królowa. Nie darmo powiadają, że od pocałunków usta nie bledną, a raczej odnawiają się jak księżyc<sup>195</sup>.

<sup>193</sup>szerzyć się — tu: rozwodzić się; szeroko omawiać. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

## OPOWIEŚĆ ÓSMA. PRZYPADKI GRABIEGO ANTWERPII

*Grabia Antwerpii, fałszywie oskarżony, idzie na wygnanie. Zostawia dwoje swoich dzieci w różnych miejscowościach w Anglii. Powraca ze Szkocji, nie będąc od nich poznany, i znajduje je w szczęściu i w pomysłności. Później służy jako prosty żołnierz pod rozkazami króla francuskiego. Gdy jego niewinność na jaw wychodzi, do pierwotnego swego stanu powraca.*

Damy wzdychały często, słuchając opowieści o rozlicznych przypadkach pięknej Alatiel. Któż jednak mógł wiedzieć, co było tych westchnień przyczyną? Być może, ponieważ wzdychały tak nie z litości nad nieszczęściami Saracenki, lecz przez zazdrość dla jej częstych miłosnych igraszek. Ostawmy jednak na ten czas tę sprawę. Przy ostatnich słowach opowieści Panfila wszyscy śmiechem wybuchnęli. Królowa, widząc, że opowieść już skończona, obróciła się do Elizy i dalej jej ciągnąć kazała. Eliza z wesołym uśmiechem zaczęła w te słowa:

— Obszerne jest to pole, po którym się dziś przechadzamy. Każdy w szranki wychodząc mógłby nie jedną, lecz dziesięć opowieści do końca doprowadzić, tak wiele bowiem srogich i niespodziewanych zdarzeń fortuna na ludzi sprowadza. Wybrawszy jedno z nich, opowieść swoją zacznę:

„Gdy cesarstwo rzymskie od Francuzów do Niemców przeszło<sup>195</sup>, zrodziła się między tymi nacjami wielka nienawiść, której skutkiem uporczywa i długa wojna była. Król francuski, widząc konieczność obrony swego kraju i napaści na wroga, pospołu ze swym synem zebrał wszystkie siły swego państwa, do których dołączył jeszcze i te, co mu je krewniacy i przyjaciele przysłali, i z wielkim wojskiem na wroga wyruszył. Nim jednak to się stało, nie chcąc kraju bez rządcy ostawić, porучzył władzę nad Francją Gualtieremu, grabiemu Antwerpii. Grabia był wielce rozumnym i szlachetnym człkiem, przyjacielem i wiernym sługą króla, a także rycerzem w sztuce wojennej zawołanym. Król i królewicz jednakowoż sądzili go sposobniejszym do trudów rządzenia niżli do czynów wojennych. Obaj ruszyli w drogę, a grabia jął<sup>196</sup> rządzić rozumnie i sprawiedliwie, nie gardząc radami królowej i jej synowej. Aczkolwiek obie te damy powierzono jego pieczy i władzy, on wszelako należną cześć im okazywał i jak do swych władczyń się do nich odnosił.

Gualtieri był mężczyzną czterdziestoletnim, wielce urodziwym i tak obyczajnym, jak tylko szlachcic i dworzanin być nim może, krom<sup>197</sup> tego był najpowabniejszym i najwdzięczniejszym rycerzem swego czasu, troskającym się wciąż o swój urodziwy pozór<sup>198</sup> i stroje.

Gdy król wraz z synem na wojnie przebywał, grabiemu umarła żona, ostawiając mu dwoje małych dzieci: chłopca i dziewczynkę. W tym czasie Gualtieri ciągle na dworze bawił, odwiedzając królową i jej synową i rozprawiając z nimi o potrzebach państwa. Żona młodego królewicza obróciła nań swoje oczy i zważywszy jego urodę i polerowane obyczaje tkliwą miłość potajemnie do niego uczyła. Widząc się świeżą i młodą i wiedząc, że grabia bez żony ostał, sądziła, że nietrudno jej będzie miłość jego pozyskać. Nie było innych przeszkód jak wstyd, aliści<sup>199</sup> postanowiła go przemóc i odkryć Gualtieremu szczerze tajemnicę serca swego. Pewnego dnia będąc sama, a myśląc, że czas nadszedł, posłała po grabiego, pod pokrywką, że chce się naradzić z nim nad sprawami państwa. Gualtieri, który nie podejrzewał wcale, jakie są zamysły księżniczki, przybył bez zwłoki. Jak chciała, usiadł obok niej w komnacie, gdzie byli sami, a później spytał się, dla jakiej przyczyny go przyzwała. Aliści księżniczka milczała. Wreszcie miłością pobudzona, czerwona od wstydu i cała drżąca, zaczęła mówić urywanym głosem i z płaczem na poły.

— Najmilszy mój przyjacielu i panie! Jako człek rozumny, bez trudu pojąć możecie, jak wielka jest skłonność i słabość zarówno mężczyzn, jak i białogłów, zrozumiecie także, dlaczego u niewiast z większą siłą niedostatki te występują. Sprawiedliwy sędzia nie wymierzy jednakiej kary za ten sam grzech, popełniony przez różne osoby i w różnych

<sup>195</sup>cesarstwo rzymskie od Francuzów do Niemców przeszło — wraz z objęciem władzy w 962 r. przez Ottona I z dynastii saskiej. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>pozór — tu: wygląd. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

okolicznościach. Któż nie zgodzi się na to, że biedny człek albo uboga białogłowa, którzy w pocie czoła na życie pracują, o wiele większej godni są nagany, gdy się urokom i powabom miłości poddają, niżli bogata dama, na próżnowaniu czas swój trawiąca i zwyczajna posiadać wszystko, czego zapagnie? Nikt, jak sędzę. Dlatego też mniemam, że dostatki i swoboda w znacznej mierze usprawiedliwiają kobietę, która, zbytkiem otoczona, głosowi miłości ulega. Jeśli zaś wybierze nadto za przedmiot swego uczucia rozumnego i dzielnego kochanka, wydaje mi się nie tylko godną pobłażania, ale i całkiem usprawiedliwioną. Zdawa mi się, że we mnie oba te warunki się łączą, a przy tym do miłości przynaglają mnie jeszcze i inne przyczyny, jak moja młodość i nieobecność męża. Niechajże to wszystko w oczach waszych będzie wytłumaczeniem mojej gorącej miłości i niechaj was przekona, tak jak każdego rozumnego człeka przekonać winno. Gdy się tak stanie, proszę, abyście mi nie odmawiali pomocy swojej i rady. Powiem wam jeszcze, że w czasie nieobecności męża chuciom moim cielesnym ani sile miłości stosownego nie mogę dać odporu.

Jakże zresztą mogę przeciwiać się temu, czego zwalczyć nie jest w stanie nie tylko słaba białogłowa, ale i każdy z silnych mężów, których co dzień miłość zwycięża i hołduje. Pędząc życie swoje wśród dostatków i próżnowania, jako to sami widzicie, ulec namiętności musiałam. Wiem sama najlepiej, że to rzecz sromotna, aliści, jeśli wszystko w tajności pozostanie, zaledwie mój postępek za nieobyczajny poczytać będzie można. Amor był dla mnie tak łaskawy, że nie tylko mi rozumu nie odjął przy wyborze kochanka, ale jeszcze wskazał na was, jako na człeka mojej miłości godnego. Mniemam, że się nie mylę, poczytując was za najurodziwszego, najdworniejszego i najmądrzejszego rycerza, jakiego w naszym królestwie spotkać można. Ja żywię — rzec można — bez męża, wy bez żony ostaliście! Błagam was tedy<sup>200</sup>, w imię tak wielkiego afektu mego do was, ulitujcie się nad młodością moją, która zaiste z waszej przyczyny jak lód od ognia topnieje.

Gdy słowa te wyrzekła, lzy rzuciły się do jej oczu z taką siłą, że już nic powiedzieć nie mogła, chociaż i chciała jeszcze wiele zakłębć i próśb do grabi obrócić. Skłoniła jeno<sup>201</sup> głowę, jakby zbytkiem uczuć zwyciężona, i płacząc osunęła się na piersi Gualtieriego. Grabia, jako rycerz prawy, surowymi słowy zgromił tę jej namiętność bezrozumną, a widząc, że dama chce mu się rzucić na szyję, odepchnął ją i rzekł, iż prędzej da się poćwiartować lub kołem połamać, niż sobie albo komukolwiek na taką zakałę czci swego pana pozwoli.

Księżniczka, usłyszawszy to, zapomniała w jednej chwili o swojej miłości i w porwywie pierwszego gniewu dumnie zawołała:

— Mniemasz, że pozwolę z podobną wzdardą moje pragnienia odtrącać? Klnę się, niegodny rycerzu, który chcesz mojej śmierci, że ja ciebie pierwaj żywota pozbawię.

Rzekłszy te słowa, schwyciła się za włosy, potargała je, a później rozerwała na sobie szaty i jęła<sup>202</sup> krzyczeć z wszystkich sił:

— Na pomoc, na pomoc! Grabia Antwerpii gwałt mi zadać pragnie!

Grabia, obawiając się podlej zawiści dworaków więcej niżli czystego sumienia swego i wiedząc, że oskarżeniom księżniczki łatwiej uwierzą niż jego niewinności, opuścił co żywo komnatę i pałac i uciekł do swego domu. Tam, nie tracąc po próżnicy czasu, dziatki swoje na konia wsadził, sam na siodło wskoczył i pomknął jak wicher w stronę Calais.

Tymczasem na krzyki księżny zbiegła się siła<sup>203</sup> ludzi. Ci, ujrawszy ją w takim nieładzie, nie tylko słowom jej uwierzyli, ale krom<sup>204</sup> tego, przypomniawszy sobie układność, dworność i frantostwo grabi, ku tej myśli przyszli, że rycerz od dawna już do tego haniebnego celu zmierzał.

Rzucili się więc pełni gniewu na dom Gualtieriego, aby rycerza uwięzić. Nie znalazłszy go, ograbili całą jego majątność i dom z ziemią zrównali. Wieść o tym zdarzeniu doszła w końcu do króla i jego syna pośród wojska. Ci, zapaleni gniewem, skazali grabię wraz z jego potomstwem na wieczne wygnanie i wielką nagrodę przyrzekli temu, kto go dostawi żywym lub umarłym.

<sup>200</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]



Tymczasem Gualtieri, zrozpaczony tym, że z niewinnego, na skutek swej ucieczki, stał się przestępcą, zdążył przebrać się<sup>205</sup> wraz z dziećmi do Calais, nie będąc od nikogo poznany, a wkrótce potem dostał się do Anglii. Wdziawszy na się wielce nędzne szaty, przybył do Londynu. Nim wszedł do miasta, zalecił dzieciom swoim dwie rzeczy: cierpliwość w znoszeniu nędzy i nieszczęść, w które los wraz z nim niewinnie je wtrącił, i tajemnicę najściślejszą przed wszystkimi, skąd pochodzą i kto jest ich rodzicem, jeżeli tylko życie im jest miłe. Syn Gualtieriego liczył zaledwie dziewięć lat; córka, zwana Violantą, nie więcej jak siedem. Mimo tak młodego wieku dzieci pojęły wybornie pouczenie ojca i dowiodły tego później czynami. Gualtieri postanowił, że lepiej będzie, jeśli dzieciom zmieni imiona, dlatego też przezwał chłopca Perotto, a dziewczynę Giannettą. Przebrawszy się w łachmany podobne do tych, co je żebracy francuscy noszą, weszli do Londynu i o jałmużnę prosić jęli. Pewnego dnia, kiedy trafunkiem<sup>206</sup> znajdowali się w kościele, zdarzyło się, że pewna dama, żona jednego z marszałków króla angielskiego, wychodząc z głównej nawy, ujrzała grabiego i jego dzieci, proszących o wsparcie. Dama spytała go, skąd jest rodem i zali<sup>207</sup> to jego dzieci? Odparł, że pochodzi z Pikardii i że musiał porzucić kraj ojczysty pospołu z tymi drobnymi dziećmi z powodu pewnego występku, jaki popełnił jego najstarszy syn, hultaj niegodziwy. Szlachetna i tkliwa dama popatrzyła na dziewczeczkę, którą wielce wdzięczną i urodziwą znalazła, i rzekła w te słowa:

— Jeżeli się zgodzisz, przyjacielu, wezmę chętnie do siebie tę miłą dziewczeczkę, której dobrze z oczu patrzy. Gdy na uczciwą kobietę wyrośnie, zatroskam się o to, aby w stosownym czasie dobrze za męża ją wydać i wianem obdarzyć.

Grabie mu bardzo te słowa do serca przypadły. Zaraz swą zgodę wyraził i ze łzami polecił córkę łaskom damy. Znalazłszy dobry schron dla Giannetty, postanowił nie pozostawać tu dłużej. Przeszedł całą wyspę o żebranych chlebie, pospołu z Perottem, i wreszcie przybył do księstwa Walii, srodze zmęczony, bowiem do chodzenia piechotą nie był nawykły. W księstwie Walii przemieszkiwał drugi marszałek króla, człek wielce bogaty i trzymający na swym dworze liczną służbę. Grabia ze swym synem często na dwór ten zachodził, bowiem nie skąpiono mu tam strawy. Na dziedzińcu zamku bawił się zwykle syn marszałka pospołu z synami szlachciców, biegając, skacząc i inne igraszki czyniąc. Perotto przyjmował<sup>208</sup> nieraz w tych igrach udział, taką zręczność po sobie pokazując, że w każdej sztuce innym był równy albo przed nimi brał przodek. Marszałek, przyglądający się igraszkom dzieci, wielce sobie w zręczności i zachowaniu się chłopca upodobał i zapytał, kim on by był? Odpowiedziano mu, że jest synem nędzarza, który nieraz do zamku po jałmużnę przychodzi.

Marszałek kazał żebrakowi powiedzieć, że rad by był zatrzymać jego syna przy sobie. Grabia, który o nic lepszego Boga prosić nie mógł, zgodził się na to chętnie, chociaż ciężko mu było z synaczką się rozstawać. Po czym, uspokojony o los syna i córki, opuścił Anglię i przebrał się<sup>209</sup> do Irlandii. Przybywszy do miasta Strangford, przystał na służbę do rycerza pewnego grabi za parobka i spełniał najniższe posługi, do jakich są obligowani masztalerze i inni słudzy. Nie będąc od nikogo uznany, w trudach i niewczasach<sup>210</sup> życie pędził. Tymczasem Violanta, Giannettą zwana, żyła u szlachetnej damy w Londynie, wyrastając na mądrą i wielce urodziwą panienkę. Dama, jej mąż i wszyscy, co ją znali, w osobliwym stopniu łaskami i przychylnością swoją ją darzyli. Nie było nikogo, co by pomiarkowawszy jej obyczaje, pozór i dworność nie rzekł, iż godna jest największej szczęśliwości i czci. Dama, która ją od ojca wzięła, wiedziała o nim tylko to, co on jej sam o sobie opowiedział, umyśliła więc wydać ją za męża godziwie, lecz stosownie do jej niskiej, jak mniemała, kondycji. Aliści Bóg, sprawiedliwy sędzia dzieł ludzkich, wiedział, że szlachetna dziewczeczka niewinnie za cudzy grzech poniżona została, i dlatego całkiem inaczej ustanowił. Szlachetnej panience nie sążone było wstąpić w stadło z człkiem podłego stanu; to, co się z nią stało, trzeba przypisać szczególnej łasce bożej. Marszałek

<sup>205</sup>przebrać się — tu: przedostać się. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>trafunkiem — przypadkiem. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>przyjmować udział (daw.) — brać udział. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>przebrać się — tu: przedostać się. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>niewczasasy (daw.) — niewygody. [przypis edytorski]

i jego żona mieli tylko jednego syna, którego czułą miłością darzyli, nie tylko dlatego, że był ich dzieckiem, ale także dla cnót jego, przymiotów, męstwa i urodziwej postaci. Ów młodzian, o sześć lat starszy od Giannetty, wdziękiem i pięknnością jej oczarowany, tak się w niej zakochał, że o żadnej innej myśleć już nie chciał. Ponieważ jednak mniemał, że jest to dziewczeczka niziuchnego stanu, nie miał śmiałości poprosić rodziców o przyzwolenie poślubienia jej, a nawet obawiał się zdradzić ze swym afektem, bowiem myślał, że go osądzą surowie za wybranie tak niegodnego przedmiotu miłości. Skryte płomienie tym większą udrękę mu sprawiały. Z tego poszło, że ciężko zachorzał. Zwołano co najętszych medyków, aliści<sup>211</sup> ci, jakkolwiek uważnie za objawami niemocy śledzili, przecie żadną miarą wpaść nie mogli na jej właściwą przyczynę i poczęli już o uzdrowieniu wątpić. Rodzice otroka<sup>212</sup> w tak wielką boleść i melankolię popadli, że większej siły ludzkie przenieść by już nie mogli. Nie raz i nie dwa błagali go, aby im odkrył przyczynę swego cierpienia, on jednakowoż tylko im westchnieniami odpowiadał i mówił, iż czuje swój bliski koniec. Pewnego dnia przy łożu chorego siedział młody, wielce uczony lekarz, trzymając go za rękę i puls mierząc. W tym trakcie do komnaty weszła Giannetta, która o chorego miała troskliwe staranie przez cześć, jaką dla jego matki żywiła. Młodzieniec, ujrawszy ją, nie mówiąc ani słowa i nie zdradzając się żadnym poruszeniem, poczuł, że w sercu jego zwiększają się miłosne płomienie, przez co i puls począł bić silniej niż zazwyczaj. Medyk to zaraz z wielkim zadziwieniem zauważył i w milczeniu ją<sup>213</sup> badać, jak długo trwać będzie to przyspieszone bicie. Gdy Giannetta wyszła z komnaty, puls słabł. Wówczas zdało się medykowi, że odkrył prawdziwą przyczynę choroby. Trzymając po dawnemu chorego za rękę, kazał przywołać Giannettę, pod pozorem, że chce ją o coś zapytać. Giannetta zjawiała się nie mieszkając<sup>214</sup>; nim jeszcze przez próg komnaty przestąpiła, już puls z pierwszą mocą bić począł, a później znów po jej wyjściu osłabł. Wówczas medyk, upewniony już co do słuszności swoich podejrzeń, podniósł się i wzięwszy na stronę rodziców, rzekł do nich:

— Uzdrowienie waszego syna nie zależy od kunsztu lekarzy, spoczywa ono w rękach Giannetty, którą młodzieniec miłuje z całej duszy, jak to poznałem z różnych znaków. Ona zasię<sup>215</sup>, jak ze wszystkiego wnosić można, ani się nawet tego domyśla. Jeśli wam życie jego miłe, osądźcie sami, co wam czynić wypada.

Marszałek i jego żona ucieszyli się wielce, ponieważ wiedzieli już, jakiego środka trza użyć, aby syna ocalić. Nie było im jednak po myśli synowi za żonę Giannettę dawać. Po wyjściu lekarza udali się do komnaty chorego.

— Synu mój — rzekła matka — nigdy bym nie uwierzyła, że będziesz mógł ukrywać przede mną jakiegokolwiek z swoich pragnień, a zwłaszcza to, które niespełnionym będąc, do takiego cię przywodzi stanu. Mogłeś być przecie pewien, że nie ma na świecie takiej rzeczy, której bym dla ciebie nie uczyniła jak dla siebie samej, choćby ona i niegodną była. Mimo żeś mi to zataił, Bóg okazał się bardziej litosny dla cię niż ty sam dla siebie, i aby cię od śmierci uchronić, ukazał mi przyczynę niemocy twojej. Wiem, że jest nią zbytek miłości, jaką żywisz do pewnej dziewczeczki. Nie trza ci się było wstydzić swego afektu, bez względu na to, kim by twoja wybranka była. Wiek twój miłości się domaga i powiem ci nawet, że gdybyś nie miłował, gorsze mniemanie bym o tobie miała. Zatem nie sromaj się przede mną, mój synu, jeno<sup>216</sup> szczerze wszystkie pragnienia swoje mi odkryj. Zbądź się melankolii i tej myśli przykrej, co niemoc twoją powoduje, nabierz otuchy i pamiętaj, że nie ma na świecie nic takiego, czego bym dla cię nie uczyniła, bowiem miłuję cię bardziej niż życie własne. Porzuć więc wstyd fałszywy i strach i rzeknij mi, jak i czym mogę ci w twojej miłości dopomóc? Jeżeli obaczysz, że nie uczynię wszystkiego, co w mojej mocy leży, i że do pomyślnego skutku rzeczy nie przywiędę, będziesz mógł mnie nazwać najokrutniejszą matką, jaka kiedykolwiek dzieci na świat wydała.

<sup>211</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>otrok (daw.) — chłopiec, młokos. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Młodzieniec, usłyszawszy słowa matki, najpierw się ze wstydu zarumienił, lecz później pomyślawszy, że nikt skuteczniej od niej w tej sprawie mu nie pomoże, przemógł wstyd i rzekł:

— Jeśli, droga matko, do tych pór moją miłość skrywałem, to przyczyną tego było, iż patrząc na wielu ludzi to przeświadczenie wyniosłem, iż gdy człowiek do sędziwego wieku przychodzi, nie chce wspominać o tym, że i sam był kiedyś młodym. Aliści, widząc po waszych słowach, że jesteście pełni wyrozumienia, nie tylko nie będę przeczył temu, czego się domyślacie, lecz i szczerze wam wszystko wyznam pod warunkiem, że zdziałacie wszystko, aby swoją obietnicę, o ile to w mocy waszej, wypełnić tak, abym wrychle do zdrowia mógł powrócić.

Dama (która zamyśliwszy już coś, zbyt wierzyla w uskutecznienie swoich zamiarów, chociaż niesądzone im było spełnić się w takiej właśnie postaci) ponowiła swoje zaręczenia, prosząc, aby uwiadomił ją o swoich pragnieniach, i przyrzekając, że bez odwołki całą sprawę uładzi, zgodnie z jego życzeniem.

— Do tego stanu, w jakim mnie teraz widzicie — rzekł młodzieniec — dowiodła mnie nieszczęśliwa miłość do Giannetty. Jej piękność, obyczajność i nieśmiałość, co mi nie tylko liczyć na jej wzajemność, ale afektów swych wyznać nie dozwalała, a także obawa zdradzenia się z nią miłością przed kimkolwiek — oto co mnie w niemoc wtrąciło. Jeśli się wam nie uda dopełnić w tej czy innej postaci tego, coście mi obiecali, bądźcie pewni, że nie będę żył już długo.

Matka widząc, że teraz nie czas gromić syna, przeciwnie, że raczej otuchy dodawać mu należy, odparła z uśmiechem:

— Czyż trza było, mój synu, dla tej przyczyny aż w chorobę popadać? Bądź teraz cierpliwy, pozwól mi działać, a obaczysz, że do zdrowia powrócisz.

Młodzieniec, pełen nadziei, zaczął wkrótce do sił przychodzić; matka, wielce tym uradowana, myślała tylko nad tym, jak by spełnić daną mu obietnicę.

Pewnego dnia przywołała Giannettę i łaskawymi a żartobliwymi słowy wypytywać ją jeła, zali<sup>217</sup> ma jakiego miłośnika? Giannetta pokraśniała od wstydu i rzekła:

— Niestosowna to rzecz myśleć o miłości, gdy się jest biedną dziewczyną, wygnaną z domu i żyjącą z łaski obcych ludzi, tak jak ja.

— Jeśli kochanka nie masz — odparła dama — to my ci go znajdziemy. Będiesz z nim żyła szczęśliwie, ciesząc się swoją pięknnością. Nie przystoi przecie tak urodziwej dziewczeczce bez miłośnika ostawać.

— Szlachetna pani — rzecze Giannetta — wzięwszy mnie od ojca-nędzarza, wychowywaliście mnie jak córkę rodzoną; za to gotowa jestem być wam posłuszną we wszystkim, w tym tylko jednym nie mogę się przecie poddać waszej woli i mniemam, że dobrze tak czynię. Jeśli się wam podoba dać mi męża, jego tylko miłować będę. Z dziedzictwa przodków moich nic mi nie pozostało krom<sup>218</sup> czci, której strzec i chronić będę do końca dni moich.

Odpowiedź panią była na wszem przeciwna życzeniom damy, która chciała dopełnić obietnicy, danej synowi, i choć w głębi serca, jako wielce cnotliwa białogłowa, rację Giannette przyznać musiała, przecie jeszcze na niej próbowała zgodę wymóc.

— Jak to, Giannetto — rzekła — a gdyby tak sam król, który jest młodym rycerzem, pragnął się cieszyć twoją miłością, zaliżbyś<sup>219</sup> mu odmówiła?

— Król mógłby mi gwałt zadać — odparła Giannetta — ale mego przyzwolenia nigdy nie otrzymałby na nic, co by cnotcie przeciwne było.

Dama, poznawszy jej niezachwiane przedsięwzięcie i wiedząc, że słowami nic nie wskóra, postanowiła ją wystawić na próbę. Rzekła synowi, że skoro do zdrowia powróci, pomieści z nim Giannettę w jednej komnacie, niechajże wówczas sama stara się ją k'temu<sup>220</sup> przywieść, aby powolna mu była, bowiem jej, matce, nie przystoi roli rajfurki odgrywać, namawiając i prosząc dziewczę, aby go względami swymi obdarzyło.

Syn jednak żadną miarą na to zgodzić się nie chciał. Stan jego zdrowia z dnia na dzień znów się pogarszać począł. Dama, spostrzegłszy to, jawnie i szczerze wszystko Giannet-

<sup>217</sup>zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>zaliżbyś (daw.) — czyżbyś. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>k'temu (daw.) — do tego. [przypis edytorski]

cie powiedziała, aliści<sup>221</sup> ta jeszcze bardziej nieustępliwą się okazała. Wówczas oznajmiła o wszystkim mężowi. Chocia im i ciężko to przyszło, postanowili dać synowi Giannettę za żonę, bowiem woleli widzieć syna żywego z nierówną mu stanem żoną niżli go bez żony na marach oglądać. Tak też i uczynili. Giannetta, wielce uszczęśliwiona, gorące dzięki Bogu złożyła za to, że nie zapomniał o niej. Nie zdradziła jednakże prawdziwego pochodzenia swego i dalej za córkę Pikardczyka uchodziła.

Młodzieniec wkrótce do zdrowia przyszedł, a po zawarciu ślubu z radością najżywszą jął<sup>222</sup> używać bez przeszkód dozwolonych rozkoszy.

Perotto, który w księstwie Walii na dworze marszałka króla angielskiego pozostał, wyrósł na dzielnego młodzieńca. Z każdym dniem zyskiwał coraz większą łaskę u pana swego. Nie było na całej wyspie nikogo, co by mógł mu sprostać na turniejach, w robieniu bronią i w innych rycerskich ćwiczeniach. Dlatego też powszędy jako Perotto-Pikardczyk zasłynął. Bóg, który o jego siostrze nie zapomniał, i o nim także pomyślał. Gdy w Anglii wybuchł mór, niemal połowa mieszkańców życie utraciła, nie mówiąc już o tym, że wielu z tych, co przy życiu ostali, salwowało się<sup>223</sup> ze strachu ucieczką do innych krajów — dzięki czemu cała wyspa sprawiała wrażenie opustoszałej. W czasie zarazy umarł opiekun Perotta, marszałek, zeszedł także z tego świata: jego syn, żona, bracia, siostrzeńcy i inni krewniacy. Ocalała tylko jedna córka marszałka, już dorosła, oraz Perotto. Gdy mór srożyć się przestał, dziewczeczka poszła za męża za Perotta. Wiedziała, że jest on człowiekiem rozumnym i szlachetnym, i dlatego też, idąc za radą nielicznych sąsiadów, pozostałych przy życiu, wybrała go sobie na męża i uczyniła go panem majątności, które jej w dziedzictwie przypadły. Król angielski, uwiadomiony o śmierci marszałka i o szczególnych przymiotach Pikardczyka-Perotta, następcą zmarłego, czyli marszałkiem go mianował.

Taki był szczęśliwy los dwojga niewinnych dzieci grabiego Antwerpii, które był on porzucił jakby na pewną zgubę.

Minęło już osiemnaście lat od chwili, gdy grabia Antwerpii uszedł z Paryża. Gualtieri, żyjąc jak nędzarz przez ten cały czas w Irlandii i siła<sup>224</sup> przeciwności znosząc, wielce się zestarzał. Pragnął dowiedzieć się, co się z jego dziećmi stało, zwłaszcza że nie obawiał się już być poznanym; pozór jego był już całkiem od dawnego jego wyglądu odmienny, a dzięki nieustannym ciężkim trudom grabia czuł się krzepszym<sup>225</sup> niż dawniej, gdy to żył pośród wygod i wczasów<sup>226</sup>. Pożegnawszy się z Irlandczykiem, u którego przez tak długi czas przebywał, udał się, w nędzne przyodziany szaty, do tego miasta w Anglii, gdzie Perotta pozostawił. Dowiedziawszy się, że Perotto został marszałkiem i wielkim panem, i ujrawszy go w dobrym zdrowiu, pięknym i silnym, wielkiej radości doznał, aliści nie chciał dać się poznać synowi do tego czasu, póki nie uzna, gdzie się Giannetta znajduje. Znowu tedy<sup>227</sup> w drogę wyruszył i do Londynu przybył. Tutaj, zasięgnąwszy ostrożnie wiadomości o damie, której córkę swą powierzył, zasłyszał, że Giannetta wyszła za męża za jej syna. Na wieść o tym tak niewymowną pociechę uczuł, że wszystkie dawne przeciwności małymi mu się być wydały; znalazł bowiem swoje dzieci przy życiu, zdrowe i szczęśliwe. Żądny obaczenia córki, jął krążyć jako żebrak w pobliżu jej domu. Pewnego dnia Giachetto Lamien (tak się zwał mąż Giannetty), ujrawszy starca-nędzarza, wielką litość do niego poczuł, i dlatego przykazał słudze do domu go sprowadzić i nakarmić go w imię miłości Chrystusa. Sługa chętnie wołę swego pana wypełnił. Giannetta obdarzyła już męża kilkorgiem dzieci, z których najstarsze ósmy rok życia liczyło. Były to najpiękniejsze i najmilsze dziatki na świecie. Obaczywszy starego grabię, w czasie gdy ten jadł wieczerzę, okrążyły go i jęły się z nim witać czule, tak jakby tajnym przecuciem wiedzione odgadły, że jest on ich dziadem. Grabia, wiedząc, że dziatki są jego wnuczętami, hołubił je i tulił, w czym dzieci tak sobie upodobały, że mimo wołania swego preceptora odejść od niego nie chciały.

<sup>221</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>salwować się (z łac.) — ratować się. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>krzepszy — silniejszy. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>wczas (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

Giannetta, wołania te usłyszawszy, wyszła z komnaty i zagroziła dzieciom, że je ukarze, jeśli swego preceptora słuchać nie będą. Dzatki rzekły z płaczem, że chcą zostać ze staruszką, który ich bardziej miłuje niż preceptor, co usłyszawszy Giannetta i grabia serdecznie się uśmieśli.

Grabia podniósł się i pozdrowił panią domu, nie jak ojciec swoją córkę rodzoną, lecz jak żebrak bogatą damę. Na widok Giannetty wielką radość z głębi serca uczuł, aliści<sup>228</sup> ona nie poznała go wcale, bowiem do tego stopnia pozór jego się odmienił. Ów brodaty, chudy, siwy, o ciemnej barwie oblicza starzec podobniejszy był do każdego innego na świecie człowieka niżli do grabiego Antwerpui.

Giannetta, widząc, że dzieci nie chcą odejść od starca i że uderzają w płacz, gdy się je chce siłą zabrać, rzekła preceptorowi, aby je na chwilę w spokoju zostawił. Wkrótce potem wszedł do komnaty ojciec Giachetta, któremu preceptor całą historię opowiedział.

Rodziec Giachetta, będący niechętny Giannecie, rzekł:

— Ostawcie ich złemu losowi, jaki Bóg im przeznaczył. Są takimi, jakimi być powinny, zgodnie ze swym pochodzeniem. Matka ich jest córką włóczęgi i nędzarza, cóż zatem dziwnego, że lgną do żebraka?

Słowa te boleśnie zraniły grabiego. Jednocześnie, zwarłszy ramiona, uniósł w milczeniu tę obelgę, jako i wiele innych zniewag w przeszłości znosił.

Mąż Giannetty, Giachetto, obaczył, z jaką przychylnością dzieci starca przyjmują; chociaż niezbyt mu to miłym było, przecie tak je miłował, że chcąc im łez oszczędzić rozkazał, aby starzec w jego domu pozostał, jeśli tylko do jakiej roboty się nadać będzie mógł. Starzec odparł, że pozostałby chętnie, jednakże nie zna się na niczym, jak tylko na obejściu z końmi, czym przez całe życie swoje się zajmował. Oddano mu zatem pod dozór jednego konia; cały wolny czas na zabawach z dziećmi spędzał. W czasie gdy los takimi drogami wiódł grabiego Antwerpui i jego dzieci, król francuski, który długi rozejm z Niemcami ustanowił, zszedł z tego świata. Na tron wstąpił jego syn, przez którego małżonkę grabia wygnany został. Gdy czas zawieszenia broni upłynął, król francuski okrutną wojnę z Niemcami rozpoczął. Angielski król, będący od niedawna jego krewniakiem, przysłał mu na pomoc liczne swoje wojska pod dowództwem marszałka Perotta i syna marszałka, Giachetta Lamiens. Pospołu z tym ostatnim ruszył na wojnę dzielny starzec, to jest grabia Antwerpui. Służył on przez długi czas przy armii jako masztalerz, nie będąc od nikogo poznany. Jako człek mądry i wielką eksperyencją<sup>229</sup> w rzeczach wojennych mający, radami swymi i czynami więcej pożytku przynosił, niżby się tego po nim ktokolwiek spodziewać mógł. Zdarzyło się, że w czasie wojny królowa Francji ciężko zaniemogła. Widząc się bliską zgonu, wyrzutami sumienia nękana, wypowiedziała się szczerze ze wszystkich grzechów arcybiskupowi z Rouen, znanemu powszechnie z pobożności i zacności. Wyznała mu także ciężką krzywdę, jaką wyrządziła grabiemu Antwerpui. Cały przebieg tej sprawy opowiedziała nie tylko jemu, ale i wielu przytomnym, prosząc ich, aby wymogli na królu, by przywrócił grabiego, jeśli ten jeszcze żyje, do dawnych praw i godności, jeżeli zaś umarł, to aby dziedzictwo na jego dzieci przeszło.

Wkrótce potem królowa zeszła z tego świata i z należną czcią pogrzebana została.

Gdy król o tej spowiedzi żony swojej usłyszał, srogi żal uczuł z powodu krzywdy wyrządzonej tak szlachetnemu człowiekowi i rozkazał natychmiast w całej armii i po całym kraju obwołać, że kto mu da najmniejsze uwiadomienie o grabi lub o jego dzieciach, sowitą nagrodą obdarzony zostanie, bowiem, jak to królowa na łożu śmierci wyznała, Gualtieri nie winien jest występku, za który na wygnanie skazany został. Król postanowił zatem do pierwotnego stanu go przywrócić. Grabia, służący za prostego masztalerza, usłyszawszy o obwieszczeniu i wiedząc, że zgodne to jest z prawdą, udał się zaraz do Giachetta i poprosił go, aby z nim razem do Perotta się udał, chce im bowiem pokazać to, czego król szuka.

Gdy się zeszli we trzech, grabia, który już pragnął prawdziwe imię swe odkryć, rzekł:

— Perotto, przytomny tutaj Giachetto pojął za żoną twoją siostrę, aczkolwiek żadnego wiana nie miała. Aby jednak siostra twoja nie była bez wiana, pragnę, by on, a nie kto inny, otrzymał tę znaczną nagrodę, jaką król obiecał za otrzymane o tobie wieści. Niechaj

<sup>228</sup> aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>229</sup> eksperyencja — doświadczenie. [przypis edytorski]

oznajmi, że jesteś synem grabiego Antwerpii, że jego żoną jest twoja siostra, Violanta, i że ja wreszcie jestem waszym ojcem, grabią Antwerpii.

Perotto, usłyszawszy to i bacznie na starca spojrzawszy, poznał w nim swego rodzica. Rzucił mu się do nóg z płaczem, a potem objąwszy go rzekł:

— Niech będzie po tysiąc razy błogosławiona ta chwila, w której powróciłeś do nas, mój ojcze!

Giachetto na słowa grabi i na postępek Perotta tak osłupiał i tak się uradował, że w pierwszej chwili nie wiedział, co mu uczynić należy. Jednakże nie wątpiąc, że wszystko jest prawdą rzetelną, zawstydział się za swe słowa niesprawiedliwe, z jakimi nieraz do swego masztalerza się obracał, i padł mu również ze łzami do stóp, błagając go o przebaczenie za wszelkie urazy.

Grabia, podniósłszy go, dobrotliwie mu wybaczył. Długo we trzech gawędzili, ze łzami przeszłość wspominając i z teraźniejszego szczęścia się ciesząc. Giachetto i Perotto pragnęli, aby grabia zaraz w stosowne szaty się przebrał, ale Gualtieri żadną miarą na to przystać nie chciał. Domagał się, aby Giachetto pierwiej obiecaną nagrodę otrzymał i aby zaprowadził go przed króla w tym samym nędznym odzieniu, dla tym większego zawstyżenia władcy. Giachetto w towarzystwie grabi i Perotta stanął przed obliczem króla i oznajmił, że przedstawi mu grabiego i jego dzieci, jeśli tylko nagrodaznaczona go nie minie. Król natychmiast kazał przynieść podarki, których świetność zdumieniem obecnych przejęła, i polecił wręczyć mu je, gdy tylko upragnionej wiadomości udzieli. Wówczas Giachetto obrócił się i wysunąwszy przed króla swego masztalerza i Perotta rzekł:

— Oto, Wasza Królewska Mość, ojciec i syn; córki, która jest moją małżonką, nie masz tutaj, ale jeśli Bóg pozwoli, i ją wkrótce obaczycie.

Król, słowa te usłyszawszy, spojrział na Gualtieriego, a chociaż ten wielce się zmienił, przecie poznał go wreszcie. Ze łzami w oczach podniósł grabiego z kłęczek, ucałował go i uściiskał, Perotta zaś<sup>230</sup> z równą łaskawością przyjął.

Później rozkazał, aby grabiemu dano przystojne szaty, zbroję, rumaka i poczet sług. Rozkaz ten w mgnieniu oka wypełniono. Krom tego wiele uprzejmości Giachettowi okazał i wypytał się go o całą jego przeszłość.

Gdy Giachetto otrzymał podarki za wskazanie grabiego i jego dzieci, grabia rzekł:

— Weź te dary od szczodrego króla naszego i nie zapomnij rzec swemu ojcu, że dzieci twoje, moje i jego wnuczeta, nie pochodzą ze strony matki od żebraków i włóczgów.

Giachetto wziął dary i wezwał do Paryża żonę swoją i matkę. Przybyła tam także żona Perotta. Dłuższy czas przebywali w Paryżu, ciesząc się wielce ze swego szczęścia razem z grabią, którego król do dawnych majątności przywrócił i do znaczniejszych jeszcze godności niż dawniej go podniósł.

Później wszyscy do domów swoich powrócili. Grabia żył w Paryżu aż do dnia swojej śmierci powszechną czią otoczony”.

## OPOWIEŚĆ DZIEWIĄTA. NIESZCZĘŚCIA POCZCIWEJ BIAŁOGŁOWY

*Bernabo z Genui, przez Ambrogiuola oszukany, traci fortunę i rozkazuje zabić niewinną żonę swoją. Ta salwuje się ucieczką i przebrana za mężczyznę, służy u sultana. Znajduje wreszcie oszusta i Bernaba do Aleksandrii sprowadza, gdzie Ambrogiuolo stosowną karę ponosi, a potem wraz z mężem, ubiór kobiecy znów przybrawszy, do Genui z bogactwy<sup>231</sup> powraca.*

Skoro Eliza tą wzruszającą opowieścią z obowiązku swego się wywiązała, podniosła się królowa Filomena, piękna i słusznego wzrostu białogłowa, mająca w rysach oblicza osobliwego wdzięku wyraz, i po chwili milczenia rzekła wesołym głosem:

— Należy przestrzegać umowy z Dioneo; tylko my dwoje mamy jeszcze opowiadać. Najpierw ja swoją historię opowiem, a Dioneo niech na koniec swoją ostawi. Sam o to bowiem, jak o szczególną łaskę, prosił.

<sup>230</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>z bogactwy — dziś popr. forma N.lm: z bogactwami. [przypis edytorski]

Nieraz lud powtarza to przysłowie, że kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Trudno by było dowieść, że te słowa są prawdą rzetelną, gdyby nie potwierdzały jej zdarzenia i przypadki życiowe. Owóż, idąc za postanowieniem naszym, mam możliwość pokazać wam, miłe damy, że ludzie prawdę powiadają, chcę także opowieścią tą nauczyć was ostrożności wobec oszustów.

„W pewnej gospodzie w Paryżu zebrało się kilku zamożnych kupców włoskich, przybyłych do tego miasta dla różnych spraw.

Pewnego dnia, po wesoło spożytej wieczerzy, gawędzili o tym i o owym. Z jednego przedmiotu rozmowy na drugi przechodząc, jęli wreszcie mówić o swoich żonach, które w domu pozostały. Jeden z nich rzekł:

— Nie wiem, wierę<sup>232</sup>, co moja żona teraz robi, to jeno<sup>233</sup> wiem dobrze, że ja, gdy mi wpada w ręce jakaś urodziwa dziewczeczka, pozostawiam na stronie miłość, jaką żonie winienem, i używam rozkoszy z tą, która mi ją daje.

— Ja także tak czynię — rzekł drugi. — Czy będę, czyli też nie będę myślał o tym, czy moja żona przyjemności zażywa, czy jej będę ufał, czy też nie, na jedno to wyjdzie, bowiem, jeśli zechce, i tak jej na wodzy nie utrzymam. Lepiej tedy<sup>234</sup> z góry pięknym za nadobne odpłacić.

Trzeci był podobnego zdania. Słowem, wszyscy przytomni<sup>235</sup> zgodzili się na to, że ich żony nie marnują po próżnicy pięknej pory, kiedy same w domu pozostają. Tylko jeden z biesiadników, Bernabo Lomellin z Genui, inaczej twierdził, zaręczając, że z łaski boskiej ma żonę uraczoną wszystkimi zaletami, jakie nie tylko białogłowie, ale i rycerzowi albo giermkowi przystoją. Drugiej takiej białogłowy w całych Włoszech nie znaleźć!

Nie tylko bowiem młoda jest jeszcze, piękna, silna i zręczna, ale i bieglejsza we wszystkich robotach białogłowskich, jak w wyszywaniu jedwabiem i innych zajęciach, od wszystkich swoich towarzyszek. Twierdził przy tym, że żaden giermek ani inny sługa lepiej od niej przy stole nie usłuży, jest bowiem wielce obyczajną, przezorną i roztropną. Wychwalał w niej także i to, że umie konia dosiadać i sokoła pięknie trzymać; pisać, czytać i rachować zasię potrafi lepiej niż niejeden kupiec. Po złożeniu jej tych pochwał powrócił do przedmiotu poprzedniej rozmowy i przysiągł, że nie masz bardziej cnotliwej i obyczajniejszej od niej białogłowy. Dodał, że jest upewniony, iż gdyby nawet przez dziesięć lat albo i dłużej poza domem przebywał, ona nigdy by sobie na żadne plugastwo z obcym mężczyzną nie pozwoliła.

Pośród biesiadników znajdował się także młody kupiec, zwany Ambrogiuolo z Piacenzy, który usłyszawszy ostatnią pochwałę, jaką Lomellin żonie swej oddał, wybuchnął głośnym śmiechem i drwiąco go zapytał, zali od cesarza otrzymał ten przywilej, którym na świecie nikt krom niego cieszyć się nie może. Na to Bernabo odparł z niejakim pomieszaniami, że łaski tej udzielił mu nie cesarz, lecz Bóg, którego moc trochę jest większa.

— Nie wątpię, Bernabo — odparł Ambrogiuolo — że wierzysz w to, co mówisz, jednakże, według mego mniemania, niewiele się znasz na prawdziwym rzeczy przyrodzeniu<sup>236</sup>. Gdybyś się był bowiem w te sprawy lepiej zagłębił, to nie będąc człekiem głupim wiele byś ważkich spostrzeżeń uczynił, które by ci kazały z większą ostrożnością o tej materii mówić. Abyś zasię<sup>237</sup> nie pomyślał, że my, cośmy tak długo tutaj rozprawiali, jakieś osobne żonki mamy, nie takiej jak twoja natury, i że gadamy tak, nie wiedząc nic o przyrodzeniu rzeczy, chcę pomówić z tobą o tym szczegółowie<sup>238</sup>. Zawszy się słyszy, że mężczyzna jest najszlachetniejszym ze stworzeń boskich, po nim zasię zaraz kobieta idzie. Mężczyzna, wedle powszechnego zdania, potwierdzonego biegiem rzeczy, jest doskonalszy od białogłowy, a zatem winien niechybnie posiadać więcej charakteru i stałości. Kobiety są bardziej zmienne, jak tego dowodzą różne przykłady, których teraz wylizać nie będę. Jeżeli zaś mężczyzna, o wiele od kobiety silniejszy, nie może oprzeć się białogłowie nie tylko wówczas, gdy ona go kusi, ale i wtedy gdy sam jej pragnie i gdy czyni wszystko,

<sup>232</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>przytomny — obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

<sup>236</sup>przyrodzenie (daw.) — tu: natura. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]



co w jego mocy leży, aby przedmiotem swych pragnień ovladnąć (wierę<sup>239</sup>, zdarza mu się to nie raz na miesiąc, lecz tysiąc razy na dzień), to zali sądzisz, że kobieta, z przyrodzenia swego od mężczyzny słabsza, nie ulegnie prośbom, pochlebstwu, podarkom i stu innym pokusom, do których pomocy przymyka<sup>240</sup> miłujący ją a mądry mężczyzna? Myślisz, że oprzeć się zdoła? Nie wierzę, wbrew twemu twierdzeniu, aby twoje przekonanie takie właśnie być miało. Sam rzekłeś przecie, że twoja żona jest kobietą z krwi i ciała, tak jak i inne białogłowy. Jeśli tak jest, to winna mieć te same pragnienia i równie mało siły, aby się im oprzeć. Choćby i była cnotliwszą od innych, jednak jest rzeczą możliwą, że uczyni to, co inne czynią. Żadnej zaś rzeczy możliwej nie należy przeczyć tak stanowczo, jak ty to czynisz, twierdząc coś wręcz przeciwnego.

Na to Bernabo odparł:

— Jestem kupcem, a nie filozofem, i dlatego odpowiem ci po kupiecku. Wszystko to, o czym mówisz, przydarzyć się może białogłowom głupim, które ani wstydu, ani sumienia nie mają. Kobiety mądre bacznie czci swojej strzegą i w większej mają ją cenie niżli mężczyźni, którzy o nią mało się troskają. Do takich właśnie białogłów moja żona się zalicza.

— Zaiste — odparł Ambrogiuolo — gdyby za każdym pofolgowaniem swej chuci wyrastał białogłowie róg na czole, na świadectwo tego, co uczyniła, to wówczas zgodziłbym się z tobą, że niewiele by ich grzeszyło. Nie tylko im jednak rogi nie wyrastają, lecz i wszystkie ślady występku giną, gdy tylko kobiety mądrze biorą się do rzeczy. Wstyd i honoru szwanki powstają zaś tylko wówczas, gdy sprawa jawną się staje. Dlatego też czynią wszystko w ukryciu, a tylko głupie o tajemnicę nie dbają. Miej to za pewne, że tylko ta jest nieskalana, której nikt nie zapragnął, albo też ta, która pragnąc, wzgardą nakarmiona została. Chocia wszystko to jest prawdą wynikającą z przyrodzonego rzeczy porządku, przecie bym sądu mego o tym tak twardo nie wyrażał, gdybym sam już wielu kobiet na próbę nie wystawiał. Powiem ci wprost, że gdybym się znalazł w bliskości twojej świętej małżonki, w krótkim czasie, jak miemam, przywiódłbym ją do tego, do czego już siła<sup>241</sup> innych doprowadziłem.

— Wszystkie te spory i dysputy — odparł rozdrażniony Bernabo — tylko czas po próżnicy nam zabierają. Ja będę mówił jedno, ty — drugie i nic z tego nie wyjdzie. Skoro jednak przekonany jesteś, że wszystkie białogłowy są tak ustępliwe, i skoro tak się chęlpisz umiejętnością poczynania sobie z nimi, to ażeby cię wywieść z błędu co do mojej żony, oświadczam, iż dam sobie głowę uciąć, jeśli ci się uda ją do swojej woli nagiąć. Jeśli zaś<sup>242</sup> porażkę poniesiesz, zadowolę się tym, że mi zapłacisz tysiąc złotych florenów.

— Bernabo — rzekł Ambrogiuolo, już sporem zapalony — gdy zakład wygram, nic mi po krwi twojej. Jeśli jednak masz ochotę obaczyć dowód prawdziwości twierdzeń moich, to postaw przeciwko memu tysiącowi pięć tysięcy. To przecie mniej, aniżeli warta twoja głowa. Chocia mi żadnego czasu nie oznaczasz, obowiązuję się pojechać do Genui i w ciągu trzech miesięcy od dnia wyjazdu z Paryża uwieść twoją żonę. Na dowód, że mi się to udało, przywiozę z sobą jej ulubione przedmioty i tyle okoliczności przytoczę, że nijakiej wątpliwości już nie będziesz mógł żywić. Musisz mi tylko dać przyrzeczenie, że przez te trzy miesiące nie pokażesz się w Genui i że o tej sprawie jednego słowa do żony swej nie napiszesz.

Bernabo zgodził się ochotnie, chocia inni kupcy, w gospodzie przytomni, chcieli do zakładu tego nie dopuścić, przeczuwając, że wielkie zło z tego wyniknąć może. Obaj przeciwnicy tak się zapalili, że wbrew przełożeniom i radom towarzyszy spisali własnoręcznie umowę, co ich wzajemnie obowiązywała. Gdy umowa już zawarta została, Bernabo pozostał w Paryżu, a Ambrogiuolo, nie tracąc czasu, nieodwłocznie do Genui się udał. Przebywszy tam kilka dni i sięgnąwszy języka o obyczajach żony Bernaba i o tym, gdzie przemieszkuje, usłyszał o niej jeszcze więcej dobrego niż z ust samego męża. Wówczas pojął, że wdał się w trudną sprawę. Jednakże, spotkawszy pewną ubogą kobietę, odwiedzającą często dom żony Bernaba i dobrze od niej widzianą, postanowił nie ustępować z placu.

<sup>239</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>240</sup>przymykać — tu: uciekać się. [przypis edytorski]

<sup>241</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>242</sup>zaś (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

Przekupił kobietę, ale tylko tego się dobił, że służka zgodziła się wnieść go w skrzyni umyślnie sporządzonej nie tylko do domu, lecz i do sypialnej komnaty cnotliwej damy. Służka uprosiła żonę Bernaba o przechowanie tej skrzyni przez kilka dni, dopóki z rzekomej podróży nie wróci. Skrzynia ostała w komnacie.

Okolo północy Ambrogiuolo, przekonany, że dama śpi już twardym snem, otworzył wieko wziętymi uprzednio narzędziami i chyłkiem wyszedł ze skrzyni do komnaty, w której ogarek płonął. Zważył dobrze wielkość komnaty, malowania na ścianach i różne przedmioty, wbijając sobie w pamięć wszystko, co było godniejsze uwagi. Potem zbliżył się do łoża, a obaczywszy, że dama wraz z małą dziewczką, którą miała przy sobie, śpi krzepkim snem, ostrożnie odkrył ją całą i ujrzał, że naga równie jest piękna jak i w ubraniu. Nie mógł jednak dostrzec jakiegoś osobnego znaku krom znamienia pod lewą piersią, otoczonego złotymi włoskami. Później nakrył ją znów ostrożnie, hamując w sobie żądzę, którą rozgorzał na widok jej pięknego ciała. Niewiele już brakowało, aby legł obok niej, życiem swoim azardując<sup>243</sup>. Nie odważył się jednak uczynić tego, wiedział bowiem, że jest sroga i nieprzystępna. Większą część nocy na myszkowaniu po komnacie spędził. Z otwartej szafy wziął sakiewkę, pierścionki, kilka pasów i szatkę zwierzchnią i wszystko to w skrzyni swojej umieścił. Później zamknął szczelnie wieko i przebył w skrzyni jeszcze dwie noce, nie wzbudzając najmniejszego podejrzenia w damie.

Trzeciego dnia, zgodnie z ustanowieniem, niewiasta powróciła po swoją skrzynię i zaniosła ją tam, skąd ją wzięła. Ambrogiuolo wylazł ze skrzyni i zapłaciwszy kobiecie umówioną sumę powrócił pośpiesznie do Paryża ze zrabowanymi przedmiotami, nim jeszcze czas naznaczony upłynął. Zwołał wszystkich kupców, którzy byli świadkami zakładu, i w ich oraz Bernaba przytomności<sup>244</sup> oznajmił, że zakład wygrał, bowiem dokonał tego, co obiecał. Na dowód, że prawdę gada, opisał najpierw wygląd komnaty i malowania w niej się znajdujące, a później pokazał przedmioty, które rzekomo od damy w podarunku otrzymał. Bernabo musiał przyznać, że opis komnaty zupełnie z prawdą się zgadza i że przedstawione przedmioty w istocie własność jego żony stanowiły; zauważył jednak, że Ambrogiuolo mógł się dowiedzieć o wyglądzie komnaty od sług, a także w podobny sposób rzeczy te otrzymać. Jeśli zatem innych dowodów nie przedłoży, to jeszcze nie jest rzeczona, aby zakład wygrał. Na to Ambrogiuolo odparł:

— Powinno, dalibóg, ci to wystarczyć, alście<sup>245</sup> jeśli chcesz więcej się jeszcze dowiedzieć, to ci rzeknę, że pani Ginevra, twoja żona, ma pod lewą piersią dość duże przyrodzone znamię, pokryte sześcioma jasnymi jak złoto włoskami.

Słowa te ugodziły jak nóż w serce Bernaba. Zmienił się na obliczu i chociaż ani jednego słowa nie pisał, przecie wszyscy poznali, że Ambrogiuolo prawdę powiedział. Po chwili milczenia rzekł:

— Prawdę jest wszystko, co Ambrogiuolo powiedział. Ponieważ zakład wygrał, niechaj jutro tutaj się zjawi, aby pieniądze otrzymać.

Nazajutrz Bernabo wypłacił Ambrogiuolowi całą należność.

Bernabo, pełen gniewu i złości na żonę, wyjechał z Paryża i do Genui się udał. Nie dojechał jednak do miasta, lecz zatrzymawszy się w jednej ze swych majątności o dwadzieścia mil od grodu, wyprawił tam swego zaufanego sługę z dwoma końmi i listem do żony, w którym donosił o swoim przybyciu i prosił ją, aby wraz ze sługą do niego się udała. Słudze zaś wydał sekretny rozkaz, aby po drodze, w miejscu, które mu się najbardziej stosowne wyda, bez żadnej litości madonnę Ginevrę zamordował, a potem do niego powrócił. Wysłaniec przybył do Genui, wywiązał się ze swych zleceń, oddał pismo i został przyjęty z wielką radością przez damę, która nazajutrz siadła na koń i razem z sługą wyprawiła się w drogę. Jechali, zabawiając się rozmową o różnych rzeczach i w końcu przybyli do głębokiej, odludnej doliny, otoczonej skałami i drzewami. Sługa, uważając, że jest to miejsce najstosowniejsze do wypełnienia rozkazu jego pana, wydobyl sztylet, schwytał damę za rękę i rzekł:

— Polecie Bogu duszę swoją, pani! Tutaj bowiem umrzeć musicie!

Dama, ujrawszy sztylet i słowa te usłyszawszy, zawołała wielce zestrachana:

— Wielki Boże! Powiedz, za co mnie chcesz życia pozbawić? Cóż złego ci uczyniłam?

<sup>243</sup>azardując (daw.) — ryzykując. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

<sup>245</sup>alście a. aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

— Pani — rzekł sługa — nie wyrządziliście mi najmniejszej krzywdy, musieliście jednak srodze obrazić waszego męża, skoro polecił mi on, abym was na tej drodze bezlitośnie zamordował. Zagroził mi, że jeśli tego nie uczynię, każe mnie powiesić. Wiem przecie, ile mu winienem; nie mogę przeto nie wypełnić jego woli. Bóg widzi, że mi was żal, ale nic innego uczynić mi nie pozostaje.

— Ulitujcie się nade mną w imię miłości Boga — zawołała dama, płacząc rzewliwie — chcąc dogodzić swemu panu, nie staraj się być zabójcą człowieka, który nic złego ci nie uczynił. Bóg wszechmocny wie, że przeciw małżonkowi swemu w niczym nie zgrzeszyłam i że ta kara ciężka bez winy mojej na mnie spada. Ale nie mówmy o tym teraz. W twojej mocy leży, jeśli tylko będziesz tego chciał, zadowolnić twego pana, a Bogu i mnie jednocześnie dobro wyświadczyć. Weź moje suknie, daj mi tylko swój kaftan i płaszcz, a potem powróć do swego pana i powiedz mu żeś mnie zabił. Przysięgam ci na to życie, które mi ocalisz, że oddalę się stąd na zawsze i że o mnie nigdy wieści do tych stron nie dotrą.

Sługa, który wcale nie miał chęci zabijać, łatwo dał się zmiękczyć. Wziął od Ginevry szaty, wręczył jej swój kaftan i płaszcz, ostawił jej pieniądze, które przy sobie miała, zaklinając ją kilkakrotnie, aby jak najprędzej z tych stron się oddaliła. Potem, zostawiwszy ją w wąwozie, powrócił do swego pana i rzekł mu, że nie tylko rozkaz jego wypełnił, ale sam na własne oczy widział, jak wilki ciało Ginevry rozszarpały.

Po niejakiem czasie Bernabo powrócił do Genui. Gdy sprawa jawną się stała, wszyscy zlorzeczyć mu jęli.

Tymczasem pani Ginevra ostała sama ze swym nieszczęściem. Gdy noc nastąpiła, odmieniwszy, jak mogła najlepiej swój pozór<sup>246</sup>, schroniła się do chaty, znajdującej się w pobliżu. Otrzymała tutaj od pewnej staruszki wszystko, co jej potrzebne było, skróciła kaftan sługi stosownie do swej postaci, z koszuli swojej uczyniła spodnie, ostrzygła włosy i przemieniwszy się tym sposobem w marynarza, skierowała się ku morzu. Na brzegu spotkała przypadkiem pewnego katalońskiego szlachcica, zwanego Encararch, który wysiadł z swego sudna, stojącego na kotwicy w Albenga, aby orzeźwić się nieco u źródła. Wstąpiła z nim w rozmowę i zgodziła się doń na służbę, przewawszy się Sicuranem z Finale. Gdy weszli na pokład, Encararch dał jej lepsze szatki. Odtąd jęła<sup>247</sup> swemu panu usługiwać z taką starannością, iż ten, z nowego sługi wielce zadowolony, osobnym faworem darzyć go począł. Zdarzyło się, że po kilku miesiącach Katalończyk zawinął z ładunkiem do portu w Aleksandrii. Przywiózł z sobą kilka rzadkich sokołów, przeznaczonych na podarek dla sułtana. Sułtan, wdzięczny za ten dar, nieraz zapraszał Katalończyka do swojego stołu, Encararchowi towarzyszył zawsze Sicurano, który do stołu usługiwał. Sułtan upodobał go sobie i poprosił Katalończyka, aby mu go odstąpił. Encararch, acz niechętnie, na prośbę przystał. Sicurano w krótkim czasie pozyskał łaskę sułtana, nie mniejszą od tej, jaką się u Katalończyka cieszył.

W owych czasach w mieście Aciri<sup>248</sup>, podwładnym sułtanowi, odbywał się corocznie jarmark, na który ze wszech stron zjeżdżali się chrześcijańscy i saraceńscy kupcy. Dla ich bezpieczeństwa sułtan zwykł był posyłać do Aciri, krom wielu urzędników, także i straż zbrojną, pozostającą pod rozkazami zaufanego człeka. Tym razem zamyślił wyprawić do Aciri Sicurana, znającego już dobrze język miejscowy. Tak się też i stało. Sicurano przybył do Aciri jako dowódca straży, przeznaczonej dla ochrony towarów i kupców. Sprawując swoje obowiązki starannie i sam nad wszystkim mając dozór, spotkał Sicurano wielu kupców z Sycylii, Wenecji, Pizy i z Genui. Wspominając miłą ojczyznę, ohotnie z nimi w dyskursy wstępował.

Pewnego dnia stanął obok kramu kupców weneckich i pośród rozlicznych przedmiotów ujrzał sakiewkę i pas, które kiedyś doń należały. Zadziwił się wielce, ale nie dawszy po sobie najmniejszej poznaki, zapytał, czyje są to rzeczy i zali na sprzedaż są tu wystawione. Do Aciri przybył właśnie na weneckim statku, wiozącym ładunek różnych towarów, Ambrogiuolo z Piacenzy. Usłyszawszy, że kapitan straży zapytuje, do kogo przedmioty te należą, wystąpił naprzód i rzekł ze śmiechem:

— Rzeczy te są moją własnością i sprzedawać ich nie chcę. Skoro się jednak wam tak spodobały, dam wam je chętnie w upominku.

<sup>246</sup> *pozór* — tu: wygląd. [przypis edytorski]

<sup>247</sup> *jęć* (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>248</sup> *Aciri* — miasto portowe, obecnie w Izraelu; także: wł. San Giovanni d'Aciri, arab. Akka. [przypis edytorski]

Sicurano, widząc, że kupiec się śmieje, zatrwożył się na myśl, że to może ktoś, co go rozpoznał, jednakże nie tracąc rezonu rzekł:

— Śmiejesz się zapewne z tego, że człek wojskowy pyta się o takie niewieście szmatki?

— Nie, panie — odparł Ambrogiuolo — śmieję się jeno<sup>249</sup>, przypominając sobie, jakim sposobem do posiadania tych przedmiotów przyszedłem.

— Powiedz mi więc — rzekł Sicurano — jeśli w tym żadnej tajności nie ma, jak je zdobyłeś?

— Dała mi je, panie, wraz z innymi przedmiotami pewna piękna białogłowa z Genui, zwana madonna Ginevra, żona Bernaba Lomellin, owej nocy, gdy z nią spałem, prosząc, abym je na pamiątkę zachował.

Śmieję się zaś, wspominając głupotę Bernaba, który wstąpił w zakład ze mną, stawiając pięć tysięcy florenów przeciwko memu tysiącowi, że jego żona nie da mi się do żadnego plugastwa nakłonić. Udało mi się jednak opór jej przełamać, przez co zakład wygrałem. On zasię<sup>250</sup>, miast<sup>251</sup> sam siebie raczej za swoją głupotę ukarać niż ją za to, co wszystkim kobiety czynią, udał się z Paryża do Genui i jak słyszałem, zabić ją kazał.

Sicurano usłyszawszy to, poznał od razu, jaka była przyczyna gniewu Bernaba i zrozumiał, że ów człek był powodem wszystkich jego nieszczęść. Postanowił więc zbrodni tej płazem nie puścić i udał, że cała ta historia wielce go ciekawi. W krótkim czasie zawiązał z Ambrogiuolem tak ciasną przyjaźń, że ów za jego radą, gdy się już jarmark skończył, z nim i z całym dobytkiem do Aleksandrii się udał. Sicurano urządził mu sklep i dał mu wiele pieniędzy do ręki, tak iż Ambrogiuolo, widząc znaczne dla siebie korzyści, ochotnie tam się osiedlił. Tymczasem Sicurano, zajęty jedynie myślą przekonania Bernaba o niewinności swojej, nie spoczął, dopóki przy pomocy kilku genueńskich kupców, którzy w Aleksandrii bawili, pod odpowiednim pozorem do tego miasta go nie ściągnął. Bernabo żył wówczas w dosyć nędznym stanie.

Sicurano zatroskał się o to, aby pomieścić go w domu pewnego swego przyjaciela, gdzie miał przebywać aż do czasu uskutecznienia się jego zamysłów. Powiódł rzeczy tym trybem, że Ambrogiuolo powtórzył swoją opowieść przed sultanem, któremu ona wielce do smaku przypadła. Mając jednak Bernaba pod ręką, Sicurano uznał, że nie trza już sprawy w odwłokę podawać; wybrawszy przeto stosowną godzinę, poprosił sultana, aby w przytomności Bernaba rozkazał Ambrogiuolowi opowiedzieć, jak się miała rzecz z żoną Bernaba, która, wedle jego słów, woli jego uległa. Gdyby po dobrej woli wyznać wszystkiego nie chciał, groźbami się go do tego przymusi. Bernabo i Ambrogiuolo stanęli przed sultanem. Ów wobec wielu zebranych spytał surowo Ambrogiuola, jakim sposobem wygrał był od Bernaba pięć tysięcy florenów złotych, i prawdę mu mówić przykazał. Rozmowie tej przytomny był Sicurano, w którym Ambrogiuolo z początku wielkie nadzieje pokładał. Aliści ten ze zmienionym obliczem zagroził mu najsroźszymi katuszami, jeżeli nie zechce wyznać prawdy. Ambrogiuolo, zatrwożony i do muru przyparty, mniemając, że w najgorszym razie będzie musiał oddać pięć tysięcy florenów, opowiedział w przytomności Bernaba i innych istotny przebieg zdarzenia.

Gdy opowieść swoją zakończył, Sicurano, jako pełnomocnik sultana, obrócił się do Bernaba i spytał:

— A ty, na skutek tego oszustwa, co uczyniłeś ze swoją żoną?

— Zaślepiony gniewem z powodu straty pieniędzy i hańby, którą jak sądziłem, mojemu imieniu wyrządziła, kazałem ją słudze zamordować. Według jego słów, ciało jej zaraz wilcy rozszarpali.

Wszystko to rzeczono zostało w przytomności<sup>252</sup> sultana; sultan nie pojmował jeszcze, ku czemu zmierza Sicurano, który to wszystko urządził, aż wreszcie ów, obróciwszy się doń rzekł:

Teraz widzicie, panie mój a władco, jakim to miłośnikiem i jakim mężem ta biedna kobieta szczyć się mogła. Kochanek kłamliwym oskarżeniem obdziera ją ze czci, a jednocześnie do nędzy męża jej przywodzi. Mąż zasię, dając więcej wiary oszczerstwu niżli

<sup>249</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>250</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>252</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

prawdzie, którą mógł w ciągu długiego pożycia poznać dowodnie, każe ją zabić i na pastwę wilkom rzucić. Krom tego obaj, kochanek i mąż, tak wielką do niej miłość żywią, że nawet nie poznają jej, chociaż znaczny kęs czasu z nią pospołu przebywali. Abyście lepiej pojęli, na co każdy z nich zasłużył, przywiodę ją tutaj, was zaś, panie mój, proszę, abyście dla tej łaskawości, jaką dla mnie żywicie, ukarali tylko winnego, a oszukanemu przebaczyli.

Sułtan, gotów uczynić wszystko, czego Sicurano pragnął, przystał na jego prośbę i rozkazał, aby białogłowa stanęła przed nim, nie mieszkając<sup>253</sup>. Bernabo wielce się zdziwił temu wszystkiemu, był bowiem przekonany, że żona jego od dawna nie żyje, zaś Ambrogiuolo czuł już, że na gorsze się ta sprawa dla niego obróci i że zło nie skończy się na zapłaceniu pieniędzy. Nie wiedział, w czym nadzieję pokładać i czego obawiać się przy pojawieniu się tej damy, na którą także w osłupieniu czekał. Gdy tylko sułtan zgodę swą wyraził, Sicurano upadł przed nim z płaczem na kolana, przestał nagle mówić męskim głosem i cały męski pozór ostawiwszy, rzekł:

— Sprawiedliwy panie, jam jest ową nieszczęsną Ginevrą, która przez sześć lat za męża przebrana błąkała się po świecie, będąc kłamliwie i haniebnie spotwarzona przez tego łajdaka; jam jest tą samą, co ją okrutny i niesprawiedliwy mąż zabić kazał.

Rzekłszy te słowa, rozerwała na sobie szaty, aby pokazać pierś na dowód, że istotnie jest białogłową. Potem, obróciwszy się do Ambrogiuola, spytała go gniewnie, kiedy z nią łoże dzielił? Ambrogiuolo poznawszy ją oniemiał i jednego słowa przemówić nie był zdolny. Sułtan, który do tych pór miał Sicurana za mężczyznę, tak się zdziwił, iż mniemał, że wszystko to we śnie się przydarzyło. Aliści, gdy zdziwienie minęło, a prawda na jaw dowodnie wystąpiła, ją<sup>254</sup> wysławiać cnoty, obyczaje i wytrwałość Ginevry. Później kazał przynieść szatki białogłowskie, dał Ginevrze orszak sług i przebaczył Bernabie, który na śmierć zasłużył, przychyłając się do jej prośby.

Bernabo, poznawszy żonę swoją, rzucił się do jej nóg z płaczem i prosił ją o przebaczenie; chociaż go i godzin nie był, przecie Ginevra odpuściła mu winy; potem podniosła go i czule, jak na żonę przystało, uściskała.

Sułtan rozkazał, aby Ambrogiuola przywiązano do słupa, stojącego na jednej z wyniosłości miasta, wysmarowano go miodem i tak zostawiono na słonecznej spiekocie, dopóki nie zemrze. Tak też uczyniono. Majątek zaś znaczny Ambrogiuola, wynoszący ponad dziesięć tysięcy dukatów, podarował sułtan Ginevrze. Następnie wydał wspaniałą ucztę, w czasie której wielką estymę okazywał pani Ginevrze, jako najcnotliwszych białogłów wzorowi, a Bernabie, jako jej małżonkowi. Potem obdarzył ją klejnotami, złotymi i srebrnymi sprzętami i pieniędzmi, tak iż Ginevra zubożyła się o drugie dziesięć tysięcy podwójnych dukatów. Sułtan przykazał także przygotować okręt i dał małżonkom zezwolenie na powrót do Genui. Wrócili szczęśliwi i bogaci do swego kraju, gdzie oboje, a zwłaszcza panią Ginevrę, którą za zmarłą uważano, z wielką czcią i radością przywitano, wynosząc później w ciągu jej całego życia przymioty jej i cnoty osobne<sup>255</sup>.

Ambrogiuolo tegoż dnia, gdy go do pala przywiązano i wysmarowano miodem, pokąsany od os, bąków, much i komarów, których w tym kraju wielka obfitość była, wśród niewymownych katuszy żywota dokonał, pożarty do kości. Jego bielejące piszczele, przy palu wiszące, długo jeszcze tam tkwiły, przypominając wszystkim o jego plugawym postępku. Sprawdziło się na nim tedy<sup>256</sup> przysłowie: »Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada«.

## OPOWIEŚĆ DZIESIĄTA. KALENDARZ STARYCH MĘŻÓW

*Paganino z Monaco porywa żonę panu Riccardo di Chinzica, który, wiedząc, gdzie jego żona przebywa, udaje się tam i zostawszy przyjacielem Paganina, prosi go, aby mu ją oddał. Tamten*

<sup>253</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>osobny (daw.) — tu: szczególny, osobliwy. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

*przyrzeka mu to, o ile ona sama się zgodzi. Bartolomea jednakoz powracać doń nie chce i po śmierci Riccarda poślubia Paganina.*

Opowieść królowej, która powszechnie pochwały wywołała, szczególnie podobała się Dioneowi, ostatniemu z kompanii, co tego dnia opowiadać miał. Dioneo zaczął na ten kształt:

— Dostojne damy, w noweli królowej zawierał się pewien szczegół, który mnie k'temu<sup>257</sup> pobudził, abym zaniechał historii, którą wam opowiedzieć chciałem. Miałem się zapoznać z inną opowieścią. Powodem jest mi głupota Bernaba (która na szczęście wielkiego zła nań nie sprowadziła) jako i innych mężów, co sobie także do głowy wbiłi, że ich żony, w domu pozostałe, siedzą jak trusie, z założonymi rękami, podczas gdy oni włóczą się po świecie i cieszą się wdziękami to tej, to tamtej białogłowy, tak jakby, wzrosli i wychowani pośród tego niewieściego pogłowia, nie wiedzieli, do czego ono jest zdolne. W opowieści swojej chcę wam pokazać nie tylko ich tępotę, ale jeszcze większą głupotę tych, którzy mniemają, że są silniejsi od przyrodzenia<sup>258</sup>. Czynią oni różne próby, pustym gadaniem chcąc przekonać samych siebie, że mogą dokazać więcej, niżli ich siły na to pozwalają, i za wszelką cenę chcą innych zrobić podobnymi sobie, choć sprzeczne to jest z ludzi owych przyrodzeniem.

„Żył w Pizie pewien sędzia, zwany Riccardem di Chinzica. Był to człek daleko więcej rozumem celujący niżli siłą fizyczną. Ów, mniemając może, że tymi samymi staraniami, jakie do dzieł swych uczonych przykładał, żonę ukontentuje, a będąc bogatym wielce, jął<sup>259</sup> szukać pilnie małżonki, w której by się młodość z pięknnością łączyła. Gdyby był w stanie udzielić samemu sobie takiej rady, jaką nieraz drugim służył, właśnie takiej żony unikać by był winien jak ognia. Dzieło wkrótce uskutecznione zostało, bowiem niejaki Lotto Gualandi dał mu za żonę swoją córkę imieniem Bartolomea. Była to jedna z najurodziwszych i najwdzięczniejszych pańienek w Pizie, gdzie niemało się ich znajduje, zwinnych i ruchliwych jak jaszczurki.

Sędzia pojął ją nader uroczyście za żonę i wspaniałe wesele wyprawił. Jednakoz w noc poślubną postarbnął się, chcąc dopełnić małżeńskiej powinności, i ledwie zdołał jeden raz dokonać tego, co z trudem zaczął. Nazajutrz rano dla poratowania upadłych sił, jako człek mizerny i słabego ducha, musiał się uciec do małmazji, kordiałów i innych środków, co by go do życia przywrócić były zdolne.

Wówczas to pan sędzia jął się po raz pierwszy dobrze nad swoimi siłami zastanawiać i obliczać je ściślej niż wprzódy. Uczyniwszy rachunek, postanowił nauczyć żonę swoją kalendarza, dobrego dla dzieci, co się gramatyki uczą (można mniemać, że kalendarze takie tylko w Rawennie układają). Według jego wywodów, nie było takiego dnia, na który by nie tylko jedno, ale i kilka świąt nie przypadało. Dla ich należytego uczczenia żony i mężowie winni się wstrzymywać od folgowania swym cielesnym chuciom. Do tych świąt przydał jeszcze dni postu, suche dni, wigilie, dni apostołów i innych świętych, piątki i soboty, niedzielę jako dzień Zbawiciela, a także niektóre odmiany księżycy i siła<sup>260</sup> innych wyjątków. Mniemał widocznie, że robotę w łóżnicy małżeńskiej można podawać w taką odwołkę jak różne sprawy w sądzie. Tym sposobem, ku wielkiemu zmartwieniu żony, którą zaledwie raz (albo i wcale) na miesiąc dojeżdżał, rzemiosłem mężowskim się parał; trzymał przy tym żonę pod ścisłym dozorem, aby ktoś inny nie zapoznał jej z dniami roboczymi, tak jak on ze świątecznymi.

Pewnego dnia, w czasie upalnego lata, Imć Riccardo zapragnął udać się w towarzystwie żony do swej pięknej posiadłości, znajdującej się w pobliżu Monte Nero, aby tam wczasu<sup>261</sup> zażyć i świeżym powietrzem dni kilka odetchnąć. Chcąc żonie rozrywkę zgotować, urządził połów ryb. W jednej łódce pomieścił się wraz z rybakami, do drugiej wsadził żonę pospołu z innymi białogłowami. Wkrótce, sami nie wiedząc jak i kiedy, kilka mil od brzegu odpłynęli i na pełnym się znaleźli morzu. Gdy tak na połów ryb uważali, nagle nadpłynął korab Paganina da Mare, słynnego podówczas korsarza. Ujrzawszy barki, kor-

<sup>257</sup>k'temu (daw.) — do tego. [przypis edytorski]

<sup>258</sup>przyrodzenie (daw.) — tu: natura. [przypis edytorski]

<sup>259</sup>jął (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>260</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>261</sup>wczas (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

sarz skierował się ku nim; łodzie jęły uciekać, ale Paganino dopadł tej z nich, na której znajdowały się białogłowy. Ujrawszy piękną Bartolomeę, pomyślał, że ta zdobycz wystarczy dlań będzie. Pochwycił niewiastę w oczach Riccarda, który już się do brzegu przebrał, przeniósł ją na swoją galerę i śpieszno odpłynął.

Nie trza opowiadać, jak się strapił na ten widok pan sędzia, który był takim zazdrośnikiem, że nawet powietrza się obawiał. Jął się żalić w Pizie i powszędy na złodziejów, ale nawet nie wiedział, jak się zwał ów korsarz, co jego żonę pochwycił i w nieznanym miejscu zawiózł. Paganino tymczasem, ciesząc się ze swej zdobyczy, wielce był ukontentowany. Żyjąc w stanie bezzennym, postanowił urodziwą białogłową przy sobie zatrzymać. Gdy Bartolomea gorzko płakała, pocieszał ją, jak mógł. Za nadejściem nocy uciekał się do innego, skuteczniejszego środka i starał się ją pocieszać czynami, ponieważ jak mu się zdało, słowa niewielki skutek odniosły. Kalendarz mu się gdzieś zapodział, tak iż święta wypadły mu z pamięci.

Tym sposobem tyle jej dodał otuchy, że nim przybyli do Monaco, Bartolomea, zapomniawszy całkiem o sędzi i jego przepisach, najweselszy z Paganinem żywot rozpoczęła. Zawiózłszy ją do Monaco, korsarz nie tylko jej nie skąpił uciech w dniu i w nocy, ale krom tego okazywał jej względy jako prawej małżonce. Po pewnym czasie do sędziego Riccarda dotarły wieści, gdzie jego żona przebywa. Nie mając nadziei na niczyją pomoc, a wielce jej odzyskania spragniony, postanowił sam udać się po Bartolomeę i wykupić ją z tej niewoli, choćby to i znaczną sumę pieniędzy kosztować miało. Wsiadł tedy<sup>262</sup> na okręt, do Monaco przybył i tam żonę swoją ujrzał. Bartolomea opowiedziała korsarzowi o przybyciu męża i zwierzyła mu się z jego zamysłów. Następnego rana Imc Riccardo spotkawszy Paganina zawiązał z nim znajomość i o względy jego gorliwie zabiegać począł. Korsarz udawał, że nie wie, kim jest Riccardo, i czekał, co tamten przedsięwzięmie. Wybrawszy wreszcie chwilę sposobną, Riccardo w pokornych i grzecznych słowach przedstawił korsarzowi przyczynę, dla której tu przybył, i prosił go, aby wydał mu żonę za okupem, jaki sam naznaczyć zechce.

Paganino odparł z uśmiechem:

— Pozwólcie najpierw, panie, abym was w tym kraju powitał. Odpowiem wam zaś krótko. Prawdą jest, że mam młodą białogłową u siebie, nie wiem jednak, czy jest ona waszą żoną, czy też innego człeka, ponieważ was nie znam, ją zaś znam dopiero od czasu, jak w moim domu przebywać zaczęła. Jeżeli jednak w istocie jej mężem jesteście, to zaprowadzę was do niej i nie wątpię, że was łatwie<sup>263</sup> pozna. Skoro zaś ona potwierdzi to, co od was słyszałem, i wyrazi gotowość powrotu do was, ja przez wzgląd na poczciwość waszą poprzestane na okupie, jaki sami za słuszny uznacie. Gdyby się jednak przeciwnie okazało, popelnilibyście rzecz plugawą, pragnąc mi ją odjąć. Jestem młodzieńcem i mam prawo, jak każdy inny, cieszyć się białogłową, zwłaszcza taką jak ta, co jest najmilszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

— Przysięgam wam, że jest to moja żona — odparł Riccardo. — Zawieźdźcie mnie do niej, a obaczycie, że gdy tylko mnie ujrzy, na szyję mi się rzuci. Toteż proszę was tylko o to, abyście postąpili tak, jakżeście przed chwilą powiedzieli.

— Chodźmy zatem — rzekł Paganino.

Rzekłszy te słowa, poprowadził sędziego do swego domu i wwiódł go do komnaty, dokąd zaraz Bartolomeę przywołać kazał. Bartolomea, okazale przybrana, wyszła nie mieszkając<sup>264</sup> i przywitała pana Riccarda tak, jakby był on obcym człowiekiem, co przybył w dom z jej mężem. Sędzia, który myślał, że żona przyjmie go z wielką radością, osłupiał na to powitanie i pomyślał, że smutek i troska, trapiąca go od chwili, gdy ją był utracił, tak jego pozór odmieniły, że żona teraz poznać go nie może.

Dlatego też rzekł:

— Drogo mnie kosztował, miła żono, ten połów ryb. Utraciwszy ciebie, takiej boleści doznałem, że, wierę<sup>265</sup>, nikt chyba podobnej na świecie nie odczuwał. Widocznie nie poznałaś mnie, skoro mnie tak chłodno przyjmujesz. Zali nie widzisz, że jestem twoim Riccardem, który tu przybył, aby zapłacić panu tego domu taki okup, jakiego sam zażąda,

<sup>262</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>łatwie — dziś popr. forma: łatwo. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

a potem z sobą cię zabrać? Dzięki poczciwości pana Paganina mam zapłacić tyle, ile sam będę chciał.

— Zali do mnie się z tą mową obracacie, panie? — spytała dama z uśmiechem. — Widać bierzecie mnie za kogoś innego, bowiem ja przypomnieć sobie nie mogę, abym was kiedykolwiek widziała.

— Bacz na to, co mówisz — rzekł Riccardo. — Spójrz na mnie uważniej, a poznasz, że jestem twoim Riccardem di Chinzica.

— Wybaczcie mi, panie — odparła Bartolomea — aliście<sup>266</sup> nie jest zbyt przystojną dla mnie rzeczą przypatrywać się wam uporczywie. Zresztą, dość się wam już przyjrzałam, aby jeszcze raz stwierdzić, że was nigdy nie widziałam.

Wówczas Riccardo pomyślał, że Bartolomea, bojąc się Paganina, nie chce się przyznać do męża w jego przytomności<sup>267</sup>. Dlatego też, obróciwszy się do Paganina, prosił go, jako o łaskę osobną, o możliwość pomówienia z Bartolomeą w cztery oczy. Paganino przystał na tę prośbę, ale pod warunkiem, że sędzia nie odważy się pocałować damy wbrew jej woli. Potem polecił Bartolomei udać się z Riccardem do przyległej komnaty, wysłuchać, co jej powie, i dać mu respons<sup>268</sup> bez nijakiego przymusu. Gdy Imć Riccardo i pani Bartolomea w pustej komnacie na karłach usiedli, Riccardo na ten kształt zaczął:

— Serce moje, duszo moja, moja nadziejo i radości, zaliż nie poznajesz twego Riccarda, który miłuje cię bardziej niżli samego siebie? Czyż to być może? Takżem się odmienił? Spojrzyj na mnie, moje oczko najcudniejsze, błagam cię ze wszystkich sił moich!

Bartolomea głośno się zaśmiała i nie pozwalając mówić mu dalej, rzekła:

— Możecie być pewni, że nie mam tak słabej pamięci, abym was, mego męża, pana Riccarda di Chinzica, poznać nie miała. Jednakoż i wy, w czasie gdy żyłam z wami, pokazaliście, że całkiem niedostatecznie mnie znacie. Gdybyście byli w samej rzeczy człkiem tak mądrym, za jakiego uchodzić pragniecie, to spostrzeżlibyście niechybnie, że młoda, dziarska i świeża białogłowa krom odzieży i pożywienia potrzebuje jeszcze czegoś, o czym kobiety dla wstydlivosti swej przyrodzonej niechętnie mówią. Sami wiecie, jakeście te pragnienia zaspokajali. Jeśli wam miłsze było zgłębianie praw niżli żona, nie trzeba się było żenić. Wierę<sup>269</sup>, nie sędzią mi się być zdaliście, ale chodzącym kalendarzem, wymieniającym na pamięć posty, święta, uroczystości i wigilie.

Powiem wam takż, że gdybyście pachółkom, co na polach w waszych majątnościach pracują, tyle świąt naznaczali, ile temu, co nad uprawą mojej maluchnej niwy miał się trudzić, nie zebralibyście ani jednego ziarna. Ale Bóg zlitował się nad moją młodością i zesłał mi człowieka, z którym w tym domu żywię. Nie znamy żadnych świąt (mówię o tych świętach, któreście wy, zdatniejsi do służby bożej niż do służby u kobiet, tak często obchodzili), przez próg tego domu nie przeszedł nigdy piątek ani sobota, wigilia ani post wielki, co trwa tak niezmiernie długo. W dzień i w nocy się tu pracuje i grempluje wełnę. A owóz i dzisiejszej nocy, nim na jutrznię zadzwoniono, już nie raz imaliśmy się dzieła! Dlatego też umyśliłam u Paganina pozostać i z nim razem się trudzić, póki moja młodość trwać będzie. Święta, posty i odpusty odłożę sobie na starość. Wy zaś czym prędzej jedźcie z Bogiem do domu i święćcie beze mnie do woli tyle świąt, ile się wam podoba.

Imć Riccardo, słowa te usłyszawszy, niezmierną boleść poczuł. Gdy Bartolomea umilkła, rzekł:

— Ach, duszo moja, jakież słowa straszne z ust twoich słyszę? Nie maszże najmniejszego względu na cześć swoją i cześć swoich rodziców? Przekładasz żyć w grzechu śmiertelnym z tym człkiem, jako jego miłośnica, niżli jako moja żona w domu naszym w Pizie przebywać? Przecie on, gdy się tobą przesyci, za drzwi cię wygoni, ku twej sromocie a hańbie, tam zasię będziesz mi zawsze miła, sprawując władzę w domu moim, choćby i wbrew mojej woli. Zali dla tak plugawej i niepomiarkowanej żądzy chcesz mieć w pogardzie cześć swoją i odepchnąć mnie, co cię nad życie kocham? Nie mów tego, nadziejo moja, i wracaj do mnie! Ślubuję ci, że teraz, gdy już pragnień twoich świadomy jestem, będę się starał w miarę sił je zaspokoić. Przeto zmień twe postanowienie i pójdz ze mną, co nigdy dobrej chwili nie zaznałem, odkąd mi ciebie brakło.

<sup>266</sup>aliście a. aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

<sup>268</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>269</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]



— O cześć moją — odparła Bartolomea — sama będę miała staranie; niech nikt się o nią nie troska, zwłaszcza że już i tak zbyt późno na to. Rodzice moi winni byli pomyśleć o niej, gdy mnie wam za żonę dawali, skoro jednak o nią wówczas nie dbali, tedy<sup>270</sup> i ja dzisiaj o nich dbać nie chcę. Grzech śmiertelny, w którym żyję, już się na powszedni przemienił; zresztą nie wasza to rzecz. Zdawa mi się, że w Pizie byłam waszą nałożnicą, teraz zaś<sup>271</sup> jestem małżonką Paganina. Wówczas nasze planety pośród odmian księżycy i geometrycznych obliczeń rzadko schodziły się z sobą, dzisiaj natomiast Paganino nie wypuszcza mnie z objęć przez noc całą. Ścisła mnie, obłapia ciasno, gryzie i kąsa, i tak dojeżdża, jak to tylko jest Bogu wiadome. Ślubujecie, że na przyszłość starać i wysilać się będziecie. Jakimże to sposobem i po co? Aby jednego czynu dopełnić z trzema przerwami, w czasie których dębczak mógłby znowu się podnieść? Widać dziarskim jeźdźcem się staliście w czasie nieobecności mojej.

Idźcie z Bogiem i starajcie się żyć jak najdłużej; zdaje mi się, że już ledwie jako gość na tym świecie przebywacie, tak bowiem nędzniuchny i mizerniutki macie pozór. Powiem wam także, że jeśli nawet Paganino mnie rzuci (do czego, jak mi się zdaje, wcale chęci nie ma), to i tak do was nie powrócę, wiem bowiem, że choćbym was nie wiem i jak cisnęła, ani krztyny soku z siebie nie puścicie. Raz już, na moje nieszczęście, dobra tego spróbowałam i tak mam go dosyć, że w razie potrzeby gdzie indziej sobie schronienia poszukam. Jeszcze raz wam powtarzam, że pozostanę w tym domu, gdzie nie ma wigilij ni świąt. Wy zaś ruszajcie stąd co prędzej, bo zacznę krzyczeć, że mi gwałt zadać chcecie.

Imć Riccardo pojął, że nic nie wskóra, zrozumiał także w tej chwili, jakie głupstwo uczynił poślubiając młodą białogłową. Ciężko strapiiony wyszedł z komnaty i obrócił się jeszcze z długą mową do Paganina, z której jednakże także nic nie wyszło. Później, niczego nie dokonawszy i ostawiwszy żonę, do Pizy powrócił. Tutaj z nadmiernej boleści szwank wielki na umyśle poniósł. Włóczył się całe dni po mieście, a gdy go ktoś pozdrowił albo o coś zapytał, odpowiadał jeno<sup>272</sup>: »Zła to dziura, co świąt nie chce«. Wkrótce potem zszedł z tego świata. Na wieść o tym Paganino, świadomy dobrze afektu, jaki dlań Bartolomea żywiła, pojął ją za żonę. Nie zachowując świąt, wigilij i postów, pracowali usilnie, póki im sił stało. Dlatego też, miłe moje panie, mniemam, że Bernabo, wszczynając spór z Ambrogiuolem, leciał niechybnie na złamanie karku”.

Opowieść ta wywołała taki śmiech u wszystkich przytomnych, że nie było nikogo, kogo by szczęki nie zaboląły. Wszystkie damy przyznały, że Dioneo miał słuszność, zowiąc Bernaba głupcem. Gdy opowieść już skończona została, a śmiech umilkł, królowa, zauważywszy, że pora jest już późna i wszyscy głos zabrali, oznajmiła, iż koniec jej władzy nastął. Nie chybając zatem ustanowionej kolei, podniosła się, zdjęła wieniec i kładąc go na głowę Neifile, z wesołym uśmiechem rzekła:

— Od tej chwili władza nad naszym małym ludem w twoje ręce przechodzi, miła przyjaciółko!

To powiedziawszy, usiadła.

Neifile, przyjmując nadaną sobie godność, zarumieniła się niby róża, która w kwietniu czy w maju o świcie kraśnymi barwy goreje. Siedziała ze spuszczoneymi nieco oczyma, błyszczącymi niby ranne gwiazdy. Gdy jednakże ucichł przyjazny gwar, który przytomni na pochwałę nowej królowej podnieśli, Neifile rozpierzchle myśli nieco zebrała, usiadła wyżej niż zwyczajnie i rzekła:

— Skoro już jestem królową, pragnę przede wszystkim potwierdzić wszystkie prawa, którym posłuszni byliście. Później w krótkich słowach powiem wam, co zamyślałam, i co za waszą zgodą wypełnić będziemy mogli. Jutro, jak wiecie, jest piątek, a potem sobota: dni przykre nieco dla wielu z powodu potraw postnych, chociaż piątek, jako dzień, w którym cierpiał Ten, co za nas śmierć poniósł, godny jest osobliwego uczczenia. Przeto za rzecz słuszną i wielce godziwą poczytałabym, by dla bożej chwały modlitwom raczej niż opowieściom się oddać. W soboty znów jest w obyczaju u białogłów myć głowy,

<sup>270</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>zaś (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

aby ochędożyć je z pyłu i prochu, który się na nich przez cały tydzień nagromadzał. Wielu także zwykło w dniu tym na cześć Niepokalanej Dziewicy Marii post zachowywać i wstrzymać się od wszelkich trudów ze względu na nadchodzącą niedzielę. Mniemam, że także w tym dniu zwyczajnego trybu naszego życia wyrzec się musimy i że od opowieści się wstrzymamy. Skoro zaś ostajemy już w tym miejscu, cztery dni nam wówczas upłyną; jeżeli uniknąć chcemy, aby nas jacyś nowi przybysze tu nie zaskoczyli, należy nam miejsce pobytu zmienić i przenieść się gdzie indziej; o takim miejscu już pomyślałam. Zejdziemy się tam w niedzielę, po drzemce dziennej. Każdy z was więcej znajdzie czasu, by przypomnieć sobie i obmyślić opowieść swoją. A gdy dziś mieliśmy szeroko zakreślone szranki, dobrze by było ścieśnić jeszcze swobodę w wyborze przedmiotu opowieści, tak aby one wszystkie tyczyły się jakiegoś jednego przypadku fortuny.

Chciałabym, abyśmy na ten raz wybrali jako materię opowieści przypadki tych, którzy swoim sprytem osiągnęli rzecz pożądaną lub też utraconą odzyskali. Niechaj zatem każdy obmyśli w tej mierze jakąś wesołą i pożyteczną dla całej kompanii opowieść krom Dionea, którego przywilej zachowuję w mocy.

Wszyscy przyklasnęli pomysłowi królowej i przyrzekli, że się do jej woli stosować będą. Królowa, przywoławszy marszałka dworu, wskazała mu, gdzie ma stoły wieczorem zastawić, a także oznajmiła mu, co ma czynić w czasie jej panowania. Później podniosła się wraz z całym towarzystwem i pozwoliła każdemu wedle swej woli przyjemności zażywać.

Młodzieńcy i damy udali się do sadu, przechadzali się tam długo, a gdy godzina wieczery nadeszła, wesoło do stołów zasiedli. Po posiłku Emilia, zgodnie z rozkazem królowej, zawiodła taniec, a Pampinea, przy wtórze wszystkich przytomnych<sup>273</sup>, taką pieśń zaśpiewała:

Któż, jeśli nie ja, w wdzięcznej pieśni mojej,  
Radością natchnie i szczęściem upoi?

Przyjdź więc, Amorze, ty, w którym się mieści  
Wesela mego i szczęścia przyczyna;  
Przyjdź, wspólne złączymy pienie,  
Lecz nie o smutkach ani o boleści  
(Choć ona przyszłe wesele poczyna),  
Ale o ogniu, w którym, nieskończenie  
Płonąc, wciąż jedno odczuwam pragnienie,  
By sławić ciebie, władco mój jedyny!

Przed oczy moje przywiodłaś, miłości,  
Kiedy już ogień jął trawić mą duszę,  
Kochanka w rozkwicie lat,  
Który w swym męstwie, cnotach i piękności  
Równego nigdy nie znajdzie! Więc muszę  
Dla niego ludzi zhołdować i świat.  
Jednakże miłość moja nie chce zrad  
Z tobą, Amorze, władco mój jedyny!

Z rąk twoich wzięłam wyższą rozkosz jeszcze,  
Wzajemność jego, afekt równej siły.  
Twa to zasługa, Amorze!  
Szczęsna, że ziemskie sny mi się spełniły,  
Jedną nadzieją teraz duszę pieścę,  
Że śmierć miłości nie zmoże  
I że Ty kiedyś zwolisz, dobry Boże,  
Abyśmy w niebie kochali się wiecznie!

<sup>273</sup> przytomny (daw.) — tu: obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

Później inne jeszcze pieśni śpiewali, tańczyli różne tańce i na różnych instrumentach grali. Wreszcie królowa uznała, że nadeszła pora spoczynku. Wszyscy przy blasku pochodni do komnat swoich się rozeszli. W ciągu dwóch dni następnym, będąc zabawieni wypełnianiem poleceń królowej, z wielką niecierpliwością niedzieli oczekiwali.

*Kończy się drugi dzień Dekameronu i zaczyna trzeci, w którym pod przewodem Neifile mówi się o tych, co przyrodzonym swym sprytem osiągnęły rzecz pożądaną lub utraconą odzyskują.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dekameron-dzien-drugi>

Tekst opracowany na podstawie: Giovanni Boccaccio, Dekameron, tłum. Edward Boyé, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Aleksandrę Sekułę. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Michał Bień, Paulina Oltusek, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Motiv aus der Erzählung des Dekameron (Il Decamerone) von Giovanni Boccaccio, Salvatore Postiglione, public domain

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.